Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

WIEM WSZYSTKO

50 GR

INFORMACYJNY TYGODNIK AKTUALNOŚCI

Nr. 18 | Warszawa, Niedziela 24 maja 1936 r. | Rok I

MAJ, 1936 ROKU

Jeśli nie zapłonie czerwone światło »stop«...

Berlin, w maju.

Dwa miesiące temu był spokój. Tem mianem określaliśmy wszyscy fakty wojny włosko - abisyńskiej, sankcje państw zjednoczonych w Lidze Narodów, tajemnicze manewry angielskiej „Home Fleet" w zakamarkach śródziemnomorskich, uliczne bitwy Wafdystów w Egipcie i strzały rewolwerowe rewolucjonistów hiszpańskich.

Mówiło się coprawda o kulach dum - dum, bombardowaniu szpitali polowych, barykadach ulicznych, czy samolotach pilotowanych przez mechanicznego robota. Jednakowoż atmosferę w żadnym wypadku nie dającą się określić jako spokojną — nazywaliśmy pokojem i ciszą w Europie. I w to wszystko mocnym akcentem

wbiły się słowa wielkiej mowy

wypowiedzianej o godzinie 12 w południe w dniu 7 marca w sali berlińskiej opery król. Cisza i spokój zostały odesłane do rekwizytorni.

PACYFISTYCZNY BERLIN

...Patrzę się przez okno pokoju hotelowego na ulicę berlińską. Ulicę przelewającą się ruchem. Koła tysiącznych samochodów nawijają bez zmęczenia tłustą wstęgę asfaltu. Neony toczą bitwę na brudnem niebie. Niebieska zjawa zachwala rozkosze „Palast am Zoo", zaś czerwona przekonuje nas o idealności zakładu gastronomicznego „Haus Germania". Samochody, autobusy, motocykle ciągną nie kończącą się ławicą. Raz po raz wśród lśniących niklem i świeżością lakieru pojazdów pojawiają się, podobne dziwnym plamom wojskowe samochody i motocykle, pomalowane na ochronne kolory, samochody

pełne świetnie umundurowanych żołnierzy

w stalowych kaskach. Mój wzrok pada na rozłożoną płachtę gazety. Czerwono podkreślony tytuł krzyczy wielkiemi literami o niemieckim planie światowego pokoju...

...Przymykam na chwilę oczy. Nie chcę widzieć samochodów z żołnierzami, nie chcę czytać słów o pokoju. Przed oczyma wyobraźni przewija się film pełen jakże kontrastowych wrażeń, trójwymiarowy film rzeczy widzianych począwszy od 7 marca, kiedy to, podobnie jak dziesiątki innych dziennikarzy gazet świata, byłem wszędzie tam, gdziekolwiek zwracała się kierowana wymową wypadków uwaga całej Europy. Słuchałem, patrzyłem!

PONURY FILM

...Film zaczyna się biciem dzwonów w Kolonji i widokiem tysięcy ludzi o rękach pełnych kwietnych snopów, ludzi stojących na moście Höhenzollernów i witających przekraczające poprzez Ren niemieckie oddziały piechoty, artylerji, tanków i samochodów pancernych. Potem pełne zdenerwowania i niepokoju ulice miast belgijskich. Posiedzenie parlamentu w Brukseli i mowa premjera Van Zeelanda o wysiłkach Belgji nad utrzymaniem pokoju. Opowieści mieszkańców pogranicza francuskiego, gdzieś koło Sztrasburga

o panice i przygotowaniach do ewakuacji

w nocy z 7 na 8 marca. Zamaskowane fortyfikacje francuskie zamykające klamrą betonów pogranicze koło Metzu i Strasburga. Afisze po francusku i flamandzku o nagłych ćwiczeniach artylerji przeciwlotniczej koło Liége, Rozmowy o światowym pokoju w Międzynarodowym Trybunale Sprawiedliwości w Hadze i rewja nowych oddziałów holenderskiej zmotoryzowanej artylerji na ulicach Amsterdamu. Nieporadna krzątanina dyplomatyczna w Saint - James Palace w Londynie, lądowanie niemieckiego samolotu z von Ribbentroppem na lotnisku w Croydon i słowa o gałązce oliwnej światowego pokoju. I pakowanie kuferków dyplomatycznych, i bezużyteczność dwutygodniowych targów londyńskich. I wreszcie lasy sztandarów, wieńców, transparentów i piętrowych portretów — ślady kampanji agitacyjnej na ulicach Kolonji, Düsseldorfu, czy Berlina,

ślady po dniu 29 marca.

... Dziesiątki i setki rozmów. Począwszy od robotników poprawiających szosy wiodące ku francuskim fortyfikacjom pogranicznym, belgijskich górników, holenderskich żołnierzy, czy niemieckich „Arbeitsdiensterów", lub londyńskich „cokney"— sprzed St. James Palace — skończywszy zaś na wielkich, tajemniczych, ważących skrzętnie każde swe słowo dyplomatach.

WOJNA TUŻ, TUŻ...

Dziś jesteśmy już daleko od tej chwili, kiedy z szaloną szybkością zaczęliśmy nakręcać ten film. Dziś kiedy patrząc na tę ulicę berlińską kontroluję i zastanawiam się nad gorączkowo chwytanemi wrażeniami i spostrzeżeniami—uderza mnie jeden, doprawdy dziwny fakt.

Oto bowiem w tych krajach gdzie ludzie naprawdę marzą o pokoju — słowo „wojna" nie schodzi z ust wszystkich. W Belgji, Francji, czy Holandji mówi się o wojnie jako o rzeczy bliskiej, nieuniknionej. Ustala się nawet datę, twierdząc,

iż przyszła wojna wybuchnie dopiero w 1938 roku.

Kawiarniani politycy porównują dane ilościowe poszczególnych armij i już zastanawiają się nad wynikami tej zawieruchy wojennej. Tymczasem ci, których cały świat pomawia o chęć wywołania burzy, która ogarnie cały świat — mówią o tem wszystkiem niczem przysięgli apostołowie pokoju.

Jadąc przed kilkoma dniami z Kolonji do Berlina rozmawiałem przez cały czas podróży z dobrodusznym SS-manem düsseldorfskim. Długo i kwieciście, używając przekonywujących argumentów zapewniał mnie, iż nikt inny bardziej nie pragnie i nie potrzebuje pokoju, jak właśnie jego, 62-miljonowy naród. Słowo wojna podczas tej kilkugodzinnej rozmowy nie znalazło się ani razu na jego wargach. Gdy tymczasem w Lille, Brukseli, Roterdamie, Gandawie, Southampton, czy Rheims

o wojnie pogadują sobie nawet stare babiny

wygrzewające się beztrosko na wiosennem słońcu. Zapominają o sąsiedzkich plotkach, mówią o Edenie, Flandinie, czy Neuracie.

KNICKERBOCKER O WOJNIE

Kilka tygodni temu siedząc w hallu jednego z londyńskich hoteli rozmawialiśmy z przybyłym wprost z Abisynji, Knickerbockerem. Byliśmy gromadą — sami dziennikarze, nie potrzebowaliśmy olśniewać się nawzajem posiadanemi wiadomościami o armjach europejskich, nie było postronnych słuchaczy, ani czytelników naszych wrażeń. A jednak...

mówiliśmy wszyscy o wojnie.

O działach szybkostrzelnych armji angielskiej, sztucznych makietach miasteczek na pograniczu farncusko-niemieckiem gazie S 2 O, nowych kaskach ochronnych. Psychoza mówienia, wałkowanie bezustanne problemów wojennych ogarnęły wszystkich. Jakby na komendę mówiliśmy o rzeczach strasznych, zamiast podziwiać przechodzące poprzez hall piękne ladies, zamiast mówić o tulipanach wiosny kwitnących w Hyde - Parku, czy rozkoszować się smakiem czarodziejskiego sherry. Mówiliśmy jednak o wojnie...

WOJNA NA ULICACH

Europa mówi o wojnie. To słowo wymówione w rozmaitych językach ma równie elektryzującą siłę dla wszystkich. Wszystko jedno gdzie jesteśmy dziś wieczorem: w wiosce rybackiej koło Edam, na paryskim Boulevard des Italiens, londyńskiem Piccadilly, amsterdamskiem City, czy flamandzkiem miasteczku koło Gandawy. Wszędzie tak samo o tej wieczornej porze ludzie wzdychają, depczą sobie po nogach, uśmiechają się do obcych kobiet,

myślą o tankach

i tłustym smaku wieprzowej pieczeni. W stolicy suną samochody, neony zachwalają wyżymaczki, piwo, cygara i „kicze" filmowe z Hollywoodu. Parki dyszą wiosną, na niebie świecą gwiazdy. Ulice idą naprzód, tłoczą się, wzdychają. Myślę o ministrach, kursach giełdowych Shella, nowo wynalezionych gazach, redukcjach,

ulice myślą o wojnie.

STOP!!!

Kiedy na skrzyżowaniu ulic zabłyśnie nagle czerwone światło — na chwilę zamiera ruch, fala zdaje się niczem niepowstrzymanych samochodów zostaje przerwana. W Europie, w kwietniu, w tysiąc dziewięćset trzydziestym szóstym roku chciałoby się na ulicach wszystkich miast zapalić jednocześnie wielką czerwoną latarnię, wołającą bezapelacyjnie „stop". Zatrzymać zdążające bezładnie niewiadomo w jakim kierunku ulice.

CO BĘDZIE JUTRO?

Gdzie idą, ku czemu zdążają ci przechodnie ulic Europy? Wydaje się, iż zagubieni w kłopotach i troskach zdążają nieuchronnie ku swej zgubie. Pozbawieni własnych sądów i myśli, kierowani przez wszechwładnie urabiającą opinję publiczną prasę, zdają się staczać ku nieuniknionemu przeznaczeniu. W Europie, pomimo tej ogólnej psychozy wojennej nikt nie pragnie wojny. Słowo pokój wszystko jedno gdzie wymawiane ma równe znaczenie i równie przekonywującą siłę. Nie zapominajmy, że generacja z 1914 roku, ta z okopów i fortów nie wymarła bynajmniej. Ster rządów we wszystkich niemal krajach leży właśnie w rękach tych, których bezpośrednio zetknęli się z tragicznym teatrem wojny. Europa jak długa i szeroka pragnie spokoju. Ale — ta sama Europa—pozbawiona kręgosłupa równowagi psychicznej daje się ciągnąć ku niewiadomemu. Czy czerwone światło zatrzymujące to wszystko zabłyśnie gdzieś na skrzyżowaniu ulic stolic Europy?...

...Ulicą berlińską ciągną samochody, warczy na niebie zapóźniony, czarnoskrzydły samolot, ludzie idą stadem, śpiesząc się niewiadomo gdzie i po co. Neony krają niebo. Ulica krzyczy gardłami sprzedawców gazet o pokoju światowym. Szczeka samochód wiozący żołnierzy. Taki jest wieczór Europy, w maju, 1936 roku...

J. Radzimiński.

W związku z tendencyjnie rozsiewanemi pogłoskami, komunikujemy wszystkim zainteresowanym, że od firm omawianych na łamach naszego tygodnika ogłoszeń ani artykułów reklamowych bezwzględnie nie przyjmujemy

Reflektorem po „zielonych koszulach"

Pisarz chłopski o bagnie organizacyj wiejskich

Drukujemy poniższy artykuł p. Pawła Krzowskiego, jako refleks i uzupełnienie niejako naszego artykułu o nędzy i rozgoryczeniu wsi („Za 5 minut 12-ta") w 14-tym numerze „Wiem wszystko" — zastrzegamy się jednak zgóry, iż artykuł ten zamieszczamy na wyłączną odpowiedzialność autora.

Uważamy bowiem, że wszelkie przyczynki do naświetlenia katastrofalnego położenia wsi są cenne, zwłaszcza, gdy pochodzą z pierwszego źródła, t. j. bezpośrednio od inteligencji wiejskiej.

A do niej zalicza się niewątpliwie autor.

Red.

*

„Każdy stanowczy i nagły przewrót w społeczeństwie jest rodzajem przesilenia w zadawnionej chorobie".

W. Spasowicz.

Każde przesileni rządowe, a właściwie zmiana ludzi w Rządzie jest przyjmowana na wsi z pewną ulgą i z pewnem wyczekiwaniem lepszego jutra, poprawy gospodarczej drobnego rolnictwa. Wieś mało interesuje przynależność polityczna ludzi w Rządzie, natomiast pragnie jedynie od nich trochę dobrej woli i zdrowej inicjatywy.

Pomimo usilnych starań czynników rządowych w sprawie załagodzenia naprężonych stosunków na wsi, sytuacja pogarsza się z dnia na dzień, reakcja wzrasta, organizacje chłopskie w terenie łączą się z komunistami, a przedewszystkiem z „narodowcami", żeby stworzyć wspólny front w obronie interesów gospodarczych, społecznych i osobistych, chociaż te organizacje ludowe wiedzą i wierzą, że z wywrotowcami długo współpracować nie będą mogły, to jednak szukają poparcia w masie.

Bezwątpienia, przyczyną takiego stanu rzeczy były terenowe władze administracyjne, które ujemnie wpłynęły swoją wadliwą działalnością na całą konstrukcję wewnętrzną gromady wiejskiej, upokorzyły inteligencję chłopską, dlatego wywołały silną reakcję przeciwko sobie i czynnikom rządowym ze strony wsi.

*

Rząd p. Premjera Kościałkowskiego zdawał sobie z tego sprawę, ale zła w zadawnionej chorobie społecznej nie mógł naprawić, mając przeciw sobie nietylko komunistów, ale całą opozycję polityczną, oraz administrację terenową, która pracowała według systemów poprzednich Rządów „pułkownikowskich", to też wszelkie ustawy Rządu trafiały w próżnię terenową, bo każde starostwo, samorząd gminny i posterunek policyjny, miały własny plan działania, który wykonywano karygodnemi metodami na wsi.

Wielokrotnie zastanawiano się, jakby naprawić stosunki między Rządem, a drobnem rolnictwem, między władzami administracvinemi, a wsią, między instytucjami i organizacjami „wiejskiemi" w Warszawie a inteligencją chłopską, między kłócącemi się ze sobą „Związkami młodzieżowo - wiejskiemi". Udzielano wywiadów w prasie na tematy zorganizowania wspólnego frontu ludowego, mówiono w sejmie na temat „kultury wsi", biadano, a tymczasem nędza na wsi wzrastała z dnia na dzień, a tymczasem wieś chyliła się w przepaść.

*

Nasuwa się pytanie: jaki będzie stosunek polityczny i gospodarczy obecnego Rządu do sprawy wiejskich? Pozytywny, czy też negatywny, bo przecie poza Premjerem pozostali prawie wszyscy ministrowie na swych stanowiskach i przypuszczać należy, że nie zmienią oni dzisiaj zakrojonego dawniej programu wobec interesów drobnego rolnictwa.

W min. rolnictwa nic się nie zmieniło. Pozostał na właściwem miejscu P. Minister Poniatowski, kierujący rozumnie polityką rolną, chociaż musi zwrócić baczniejszą uwagę na inteligencję chłopską, ażeby otrzymać należyte rezultaty i zasadnicze korzyści.

Podkreślić należy, że wykształcona młodzież ludowa do ostatniej prawie chwili spychana była na szary koniec w pracy społecznej i w pracy państwowej. Nawet jeden procent młodzieży ludowej nie pracuje w instytucjach i organizacjach wiejskich w Warszawie, a przecież są to instytucje chłopskie, za chłopskie pieniądze. Nie pracują również dyplomowani synowie chłopscy i dyplomowane córki chłopskie w Ministerstwie Rolnictwa i Reform Rolnych, a na ich miejsce przyjmuje się „książąt", „hrabiów", „margrabiów". Trudno nawet pomyśleć, żeby w Wolnej Ojczyźnie, za którą chłopi przelali krew, ich synowie z wyższem i średnio-zawodowem wykształceniem byli ignorowani, pogardzani i upokarzani na każdem kroku, jeżeli istnieje „Front do wsi", jeżeli głosi się hasła „Kultury wsi", jeżeli wreszcie biada się nad położeniem inteligencji chłopskiej.

*

Ministerstwo Rolnictwa i Reform Rolnych zatrudnia na posadach „uprzywilejowanych", chociaż przecież żyjemy w czasach stosowanej demokracji, a synom chłopskim, nietylko odmawia zajęcia, ale i odmawia się im zasiłku na prace o... kulturze wsi". Przecie odmówiono stypendjum na pracę „Socjologja wsi" jednemu z pisarzów chłopskich, autorowi kilku prac, Peowiakowi, bo „na ten cel nie ma odpowiednich funduszów". (Pismo z dnia 6 maja 1936 r. Nr. O. R. II — 6/30), dopiero przyszło mu z pomocą Ministerstwo Oświaty.

A przecież chyba chodzi przedewszystkiem o wciągnięcie do pracy społeczno - kulturalnej tak licznej bezrobotnej inteligencji chłopskiej, która w terenie i w Warszawie godnie reprezentuje autorytet środowiska wiejskiego.

Uda się ten plan tylko wtedy, jeżeli ulegnie pewnej zmianie administarcja w terenie i nastąpi reorganizacja instytucyj i organizacyj wiejskich w Warszawie wraz z „naczelnym" personelem. Bo przecież w Warszawie jest kilka poważnych napozór organizacji wiejskich, tylko kierują się one dziwną polityką wobec zagadnień wiejskich i młodzieży chłopskiej, zwłaszcza, że kierownikami są ludzie nieodpowiedni, często nie mają oni żadnych podstaw zawodowych i ideowych do rządzenia temi instytucjami i organizacjami.

*

Mam tutaj na myśli Związek Spółdzielni Rolniczych i Zarobkowo-Gospodarczych, Centralne Towarzystwo Organizacyj i Kółek Rolniczych, Związek Gmin Wiejskich, Towarzystwo „Przodownik Wiejski", częściowo Związek Powiatów, stronnictwa polityczno ludowe, i organizacje młodzieżowo - wiejskie, jak „Siew", „Wici" i „Młodzież ludowa" t. zw. „Zielone koszule". Wszystkie te organizacje chłopskie w Warszawie współpracują luźno ze sobą nad „podniesieniem" kultury wsi w terenie, ale bez udziału inteligencji chłopskiej, bo jej do pracy nie zaproszono z niewyjaśnionych przyczyn.

O Związek Spółdzielni Rolniczych i Zarobkowo - Gospodarczych, walczą dwie organizacje: „Siew" i „Wici". Tarcia te wytworzyły dziwną sytuację w samej instytucji, chociaż jedna i druga młodzież ludowa ma jednakowe cele służenia wsi, chodzi tylko o metody. Zapomina ona jednak, że Związek ten w większości został opanowany przez ludzi z miasta, nic więc dziwnego, że młodzież wiejska nie jest dopuszczana do współpracy w czterech czasopismach, wydawanych przez ten Związek. Niedopuszcza jej „Naczelny Redaktor" tychże czasopism p. Saturnin Dąbrowski, gdyż wie, że młodzież chłopska zna lepiej od niego teren i zagadnienia wiejskie, bo przecież z tego środowiska wyrasta, a „Naczelny Redaktor" musiałby, wtedy zrezygnować z pisywania co tydzień dobrze płatnych (poza wygórowaną pensją) artykułów. Widzi on w idei spółdzielczości własną ideę, natomiast inteligencji chłopskiej, która podaje mu rękę do współpracy nie uznaje. Dziwną tę politykę Związku i „Rady Spółdzielczej" winny się zająć Ministerstwo Rolnictwa i Ministerstwo Skarbu, a przypuszczać należy, że nie ujdzie ona uwagi Pana Premjera gen. Sławoj - Składkowskiego, któremu napewno leży na sercu byt młodzieży wiejskiej, odbywającej studja w Warszawie i w innych miastach, jak również i w terenie. Tę sprawę należy gruntownie zbadać i sprawiedliwie osądzić, bo już nadszedł najwyższy czas!

*

Centralne Towarzystwo Organizacyj i Kółek Rolniczych, na czele którego stoją p. Malski i Dr. Wojtysiak ma za zadanie organizować w terenie „przysposobienie rolnicze". Niestesty nie spełnia ono należycie powierzonego zadania, jakieby spełniać powinno, ani w terenie, ani w Warszawie. Jest to instytucja może najwłaściwiej prowadzona, ale zarazem różnemi względami skrępowana, zwłaszcza przez wadliwą politykę Związku Izb Rolniczych, które wzięły sobie za zadanie paraliżowania rozmyślnie zdrowych planów tej instytucji. Wystarczy tu przypomnieć mowę p. Moraczewskiego, na ostatniej „Naradzie gospodarczej", ażeby przekonać się o istocie rzeczy.

*

Najbardziej jednak szkodliwą instytucją dla wsi ze względu na jej „Prezesa" jest Związek Gmin Wiejskich w Warszawie. „Prezesem" Związku Gmin Wiejskich jest p. Karol Polakiewicz b. poseł na Sejm, i vicemarszałek, który znany jest publiczności, a zwłaszcza wsi z głośnej afery politycznej. Wziął on sobie za zadanie niedopuszczać inteligencji chłopskiej do pracy w Związku i do współpracy w czasopiśmie przez niego redagowanem „Głosie Gminy Wiejskiej". Otoczył się „swoimi" ludźmi, którzy wiernie przy nim zostali po zunifikowaniu się „zielonych koszul" z „Siewem". Należy przyznać p. Gieratowi, że umiał uderzyć i zdemaskować „pracę ideową" p. Polakiewicza. Dzisiaj kieruje właśnie Związkiem tem (bez opieki państwowej). P. Polakiewicz i nie jest to Związek Gmin Wiejskich, ale instytucja p. Polakiewicza z doskonałą pensją, a „polityk" znów zaczyna brać przeszkody.

Porozumiał się z Wroną, Filipowiczem i prowadzi „politykę wiejską". Ośmielę się tutaj apelować do Pana Premjera, jako Ministra Spraw Wewnętrznych, ażeby zwrócił uwagę na działalność p. „Prezesa" Polakiewicza, bo pieniądze przeznaczane dla Związku Gmin Wiejskich przypuszczam idą na zorganizowanie odpadków politycznych „zielonych koszul" nic wspólnego ze wsią nie mających, a obciążających moralnie i materjalnie drobne rolnictwo i inteligencję chłopską. Wystarczy przejrzeć „Głos Gminy Wiejskiej", ażeby się przekonać o wartości politycznej „Prezesa", zarazem „redaktora", przecie Związek Gmin Wiejskich nie jest instytucją emerytalną, niech mu płaci za „zasługi" B. B. W. R. Tembardziej, że Związek Powiatów obejmuje samorząd terytorjalny i gminny. Towarzystwo „Przodownik Wiejski" założone przez Ś. p. Adama Skwarczyńskiego, po Jego śmierci przeszło nie we właściwe ręce, bo trudno chyba pogodzić się, żeby na wskroś instytucją chłopską kierował margrabia Wielopolski... Poza wyżej wymienionemi organizacjami istnieją jeszcze w Warszawie „naczelne władze" różnych stronnictw politycznych — ludowych, które po skompromitowaniu się w terenie i publicznie, nic wspólnego ze wsią nie mają, bo takimi posłami, jak Wrony, Dziduchy, Dobrochy, Wasiaki, Walerony wieś gardzi.

Byli to najgorszego gatunku macherzy polityczni, żerujący na naiwności i biedocie chłopskiej i kompromitowali jej autorytet w mieście i w życiu państwowem.

Może najuczciwsze same w sobie są Związki młodzieżowo - wiejskie „Siew" i „Wici", które interesy gromady wiejskiej rozumieją po swojemu, ale razem dążą do jednego celu. Różnią się politycznie, bo tą różnicę między niemi stworzyli niepowołani do tego „opiekunowie ludowi". Chodzi oto, żeby młodzież wiejską niedopuścić do zunifikowania się w jedną wielką organizację chłopską, bo wtedy ich szanse przewodnictwa nieistniałyby zupełnie.

Okaże się, jak wypadnie wielka narada z działaczami wiejskiemi, którą w najbliższych dniach zwołuje Rząd. Właśnie tam dopiero okaże się, kto ma rację, oczywiście, jeżeli na nią zostaną zaproszeni prawdziwi, a nie podrabiani i protegowani działacze wiejscy.

*

Prasa chłopska prawie, że nie istnieje poza szmatami i agencjami najgorszego gatunku w rodzaju Dzendzlów i t. p. publicystów i dziennikarzy. Ratuję częściowo prasę ludową czasopisma młodzieżowo-wiejskie, ale odczuwa się brak dziennika, któryby omawiał sprawy wiejskie i bronił interesów drobnego rolnictwa.

Zobaczymy, jak ustosunkuje się do powyższych zagadnień wiejskich obecny Rząd.

Z nastrojów, jakie panują w tej chwili w sferach wiejskich, ma się wrażenie, że Rząd nawiąże ścisłą współpracę z drobnem rolnictwem wychodząc z założenia, że przecież wieś jest jedynym karmicielem narodu. Wydaje „zdrowy" element i siły twórcze", a takich cech społecznych nie wolno niszczyć.

Paweł Krzowski.

Skrzynka do Listów

P. Inż. Bryzem. Juljusz, w/m. — Adres Ligi Obrony Praw Człowieka: Flory 3, m. 5, zanim jednak zwróci się Pan tam, uprzejmie prosimy skomunikować się osobiście z nami w godzinach redakcyjnych 12 — 14. Wydaje nam się, że moglibyśmy być Panu bardzo pomocni.

P. Kraw. Zofja, w/m. — Prosimy o bezpośrednie porozumienie się z nami w godzinach redakcyjnych.

P. Majkowicz St., w/m. — Niestety, działu tego wprowadzić nie możemy. Na przeszkodzie stoi brak odpowiednich funduszów. Może z czasem.

P. Billinger M., w/m. — Do sprawy tej powrócimy w najbliższej przyszłości, rozumiejąc doskonale, że nie zamyka się ona bynajmniej na torze i w stajniach pola Mokotowskiego.

P. Por. S. St. Kraków. — Istotnie, kolportaż prowincjonalny szwankuje poważnie. Pieniądze za miesięczną prenumeratę od wszystkich kolegów Pańskich otrzymaliśmy. Jeszcze raz serdecznie dziękujemy.

Tam gdzie się toczy największa gra świata

Rachunek za Szanghaj

KORESPONDENCJA WŁASNA „WIEM WSZYSTKO"

Szanghaj, w kwietniu.

W jednym z poprzednich numerów „Wiem Wszystko", w artykule „Arbiter, czy żandarm" — naświetliliśmy politykę Wielkiej Brytanji w chaosie europejskiego splotu sprzecznych interesów.

Motywów, takiej a nie innej taktyki Zjednoczonego Królestwa, należy jednak szukać nie w Genewie, ani nad Renem, a nawet nad jeziorem Tana — a w bezkresnych stepach Mongolji, w piekle Północnych Chin, na krwawiącem pograniczu Mandżurji.

Tam, w obliczu narastającej lawiny japońskiego imperjum, w bojowem pogotowiu czerwonych dywizyj marszałka Bluchera, leży klucz brytyjskiej chwiejności w sprawach europejskich i [illegible] coraz bardziej rosnąca niechęć do mieszania się w sprawy kontynentu.

TRZY ARTYKUŁY

Ostatecznego zdemaskowania motywów angielskiej „reserve" — dokonały trzy artykuły, które ukazały się na łamach londyńskich dzienników — kilka zaledwie dni temu.

Jeden z nich podkreślał konieczność jaknajszybszego zlikwidowania kwestji abisyńskiej i „oswobodzenia rąk" W. Brytanji wobec zliżającego się nieuchronnego konfliktu na Dalekim Wschodzie — drugi, alarmował opinję możliwością utraty rynku chińskiego wobec postępów japońskiej ekspansji — trzeci wreszcie domagał się natychmiastowego wycofania się Anglji ze wszystkich spraw „drugorzędnych" wobec „śmiertelnego ciosu" jakim grozi dalsza działalność armji kwantuńskiej interesom brytyjskim w Azji.

„PRUSACY WSCHODU" MASZERUJĄ...

Sytuacja stanie się zrozumiała, gdy uprzytomnimy sobie, jak **olbrzymie kapitały inwestowała Anglja w rynek chiński,** będący dla niej **najpojemniejszym terenem eksportu,** zwłaszcza, wobec **ustawicznego kurczenia się rynku indyjskiego, skutkiem rosnącego bojkotu angielskich towarów, narażającego kupiectwo i przemysł brytyjski na miljardowe straty.**

Poważne również znaczenie ma rozwój wypadków chińskich na **sytuację w fermentujących ustawicznie Indjach, gdzie pod pokrywką rzekomej pacyfikacji — wre permanentna, podziemna rewolucja przeciw brytyjskiemu panowaniu. A Indje to perła angielskich kolonij i najczulszy punkt imperjum.**

Droga do Indyj zaś, wiedzie nietylko przez Suez, ale i przez śnieżne zbocza Himalajów, skąd lamowie „żywego Buddy" w Lhassie, pilnie obserwują posuwanie się japońskich bagnetów wgłąb Chin. Zwłaszcza, że nad żółtymi bataljonami „Prusaków Wschodu" powiewa niby chorągiew bojowa, hasło zdobywczej rasy Yamato - rasy z wysp Nipponu: **„Azja dla Azjatów!"**

PRZED ŚMIERTELNEM STARCIEM

Nie łudźmy się! Narody Żółtego Wschodu stoją dziś wprawdzie w walce, ale walka ta, toczy się w gruncie rzeczy tylko o to, **które z państw: Japonja, Mongolja czy Chiny— obejmie przewodnictwo nad ludami Azji, gdy wybije godzina wyzwolenia spod panowania rasy białej.**

W podziemnych świątyniach Lhassy i Urgi, w pagodach Peikingu, w shintoiskich klasztorach starego Kioto i Kobe, w świętem Benares i w tajemniczej Agharcie — czuwają i pracują kapłani nad ziszczeniem odwiecznego snu narodów azjatyckich — wskrzeszenia pełnych chwały dni Wielkiego Mogoła, Dzingischana i Timura.

To nie są frazesy! — „Żółte niebezpieczeństwo" tylekroć wyśmiewane i wykpiwane przez niefrasobliwą Europę, stało się dziś konkretnem zagadnieniem przyszłości całego świata i realnem niebezpieczeństwem najbliższych bodaj dni!

I dlatego — Sowiety militaryzują gorączkowo swe wschodnie pogranicze, uzbrajają Mongolję i zawierają pakty zabezpieczające im tyły europejskie...

I dlatego — Ameryka rozbudowuje w błyskawicznem tempie swą flotę i fortyfikuje wyspy na Pacyfiku...

I dlatego — Anglja zagwarantuje sobie jaknajśpieszniej wszelkie prawa do jeziora Tana... przy zielonym stole obrad i za wszelką cenę postara się o najrychlejszy powrót włoskiego „żandarma Europy" nad granicę Brenneru.

CZERWONA ZAGADKA

I tu na widownię wkracza nowy, nieprzewidziany w rozgrywce czynnik: czerwone „komunistyczne" Chiny.

To niezwykle ciekawe zjawisko, postaramy się obszernie naświetlić w niniejszym artykule.

Przedewszystkiem należy podkreślić, że sytuacja w Chinach nie jest tak skomplikowana, jakby się to na pierwszy rzut oka wydawało.

Normalny europejczyk, ogłuszony potokiem dziwacznych, jednosylabowych, syczących nazw miast i wsi — z trudem orjentuje się w zawiłej nomenklaturze imion nazwisk, prowincyj i dystryktów. — Kan Ton, Nan-Kin, Kiang Si, Ku - o - min - tang, Ku-ang-Si Północ, Południe i Pekin — stanowią dlań, dosłownie trudną do pojęcia — chińszczyznę.

Dla ułatwienia przeto zaznaczamy, że Chiny rozdzielone są na dwa zwalczające się obozy. — Północ ze stolicą w Nankinie i Południe, którego rząd rezyduje w Kantonie. Zamęt w tej walce wywołują po pierwsze: niezmierzone obszary poszczególnych prowincyj, różniących się między sobą nietylko obyczajami, strojem i kulturą, ale w pierwszym rzędzie — mową. Po drugie — szereg luźnych watah rozbójniczych, pod komendą t. zw. generałów, które obierają sobie punkt oparcia w którymś z dystryktów i sprzedają swe usługi więcej dającemu. (Klasyczny przykład średniowiecznego kondotierstwa europejskiego!).

Pozatem — i to jest rzeczą najważniejszą — Chiny, kraj o 400 przeszło miljonach ludności, o nieprawdopodobnie wprost taniej sile roboczej, (kulisi), stanowi, skutkiem swego słabego uprzemysłowienia **olbrzymi, o nienasyconej wprost chłonności, rynek zbytu,** o który zacięcie konkurują Anglja, Japonja, U. S. A. i Z. S. R. R., przy pomocy metod i środków, które... nie mają często nic wspólnego z etyką, a jeszcze częściej — podpadają wyraźnie pod pojęcie **wielkiej, międzynarodowej, ogólnoludzkiej — zbrodni.** (Wystarczy wymienić choćby słynne „kapitulacje", **otwierające granice dla wwozu opium, zatruwającego masy proletarjatu chińskiego).** —

Na tem podłożu, zrodziła się zagadka „czerwonych Chin" — zarówno niebezpieczna dla Japonji, jak dla interesów innych wspomnianych wyżej mocarstw, nie wyłączając — Sowietów.

Dlaczego?

120 MILJONÓW KOMUNISTÓW!

Mało kto wie, że **olbrzymia połać Chin— przyjęła ustrój sowiecki.** Terytorjum to, położone na południowy zachód od Nankinu, w dolinie Jan - Tse — Kiangu i kilku dopływów tej rzeki, obejmuje **przeszło czterdzieści okręgów, przyczem obszar ten powiększa się z każdym rokiem.**

120 miljonów ludzi zamieszkuje to komunistyczne państwo, którego granice, cofające się lub rozszerzające, w zależności od losów wojny, jaką toczy z komuną rząd nankińskiego Kuomintangu — ogarniają mimo to powoli, ale stale (jak zaznaczyliśmy powyżej), coraz to nowe dystrykty.

Ośrodkiem jest prowincja Kiang Si. Dwa rządy regjonalne, zostały w r. 1931 scalone w jedną centralę w Jui - chin, przyczem, każde miasto, wieś, czy nawet najmniejsza osada, posiadają swe własne lokalne sowiety.

Na czele rządu sowietów chińskich stoi prezydent (niejaki Mao - Tse - Tung), pozostający w **bezpośrednim kontakcie z moskiewskim Kominternem, a cały kraj stanowi federację okręgów na wzór Związku Rosyjskich Republik Radzieckich.**

ŚCIŚLE WEDŁUG RECEPT KOMINTERNU

Ustrój państwa jest ściśle wzorowany na Sowietach. — Sowiety wiejskie, miejskie i okręgowe wybrane przez robotników, chłopów i żołnierzy, wysyłają swych delegatów do zgromadzenia narodowego. Ponad nim stoi rząd centralny z wydziałem wykonawczym, stanowiącym kolegjum komisarzy ludowych, czyli radę ministrów.

Dawne klasy posiadające i dawni obszarnicy nie mają żadnych praw politycznych, przysługujących wyłącznie chłopom, robotnikom i żołnierzom, bez różnicy płci i narodowości, od 16-go roku życia.

Główną treścią programu ekonomicznego i podstawą władzy politycznej są — reformy rolne.

Aby uprzytomnić sobie ich doniosłość, **trzeba pamiętać, że chłop chiński był obciążony w sposób wprost nieprawdopodobny 85%** ziemi, należało do oligarchji obszarniczej, **liczącej około 30% ogółu ludności prowincji. Opłaty dzierżawne i procenty od nich, pochłaniały od 50 — 80% dochodów brutto. Długi hipoteczne obciążające działki gruntowe były oprocentowane na 10 — 12 % miesięcznie!** Do tego należy dodać **nadmierne podatki, „kontrybucje wojenne" nakładane przez rozmaitych „generałów", grasujących na terenie prowincji i t. p. ciężary, które pod groźbą odebrania dzierżawy — obszarnicy przerzucili na barki chłopów, którzy w tej sytuacji byli w rzeczywistości jedynie niewolnikami swoich wierzycieli.**

„DZIEŃ ZAPŁATY"

Pierwszym czynem sowietów lokalnych, bezpośrednio po ich ukonstytuowaniu się i zorganizowaniu — było **skazanie na śmierć wszystkich obszarników, kupców, lichwiarzy i poborców podatkowych.**

Następnie **skonfiskowano ziemię i majątki osób prywatnych, spalono uroczyście księgi hipoteczne, kontrakty i wszelkie inne dokumenty odnoszące się do własności ziemi, a granice pomiędzy poszczególnemi posiadłościami zaorano, — poczem podzielono na nowo grunta między wszystkich obywateli (bez różnicy płci).**

Dzieci do lat 16-tu, starcy i inwalidzi — nie otrzymali ziemi, lecz rodzinom ich wydzielono znaczniejsze działki (na ich utrzymanie). Dalej — Uprawą roli przyznanej rodzinom żołnierzy będących w służbie czynnej, zajmują się sobiety lokalne. **Majątki publiczne, należące do świątyń i dobra zakonne — zostały upaństwowione, a długi ciążące na ziemi — anulowane. Zniesiono również skomplikowany system podatków, wprowadzając na jego miejsce progresywny podatek od ziemi i — (ostatnio wprowadzony)— progresywny podatek od obrotu.**

KONTROLA CEN I ZAKAZ SIANIA MAKU

Najściślejszej kontroli podlegają ceny zboża, ryżu, mięsa i soli, przyczem trzy ostanie **zostały znacznie obniżone,** aby umożliwić ich nieskrępowane nabywanie przez robotniczą ludność miast i osad fabrycznych.

Jednocześnie rząd **zabronił siania maku,** służącego jak wiadomo, do wyrobu opjum, którego używanie zostało zabronione i opatrzone drakońskimi rygorami. Rozwinięto specjalną propagandę, mającą na celu uświadamianie szerokich mas o zgubnym wpływie tego nałogu. Zaznaczyć tu należy, że generałowie i gubernatorowie Kuomintangu zmuszali chłopów do siania maku, ciągnąc następnie olbrzymie zyski z handlu opjum, (co stanowi główny argument w walce nowego rządu przeciw Kuomitangowi).

REFORMY SOCJALNE — POWSZECHNE NAUCZANIE

We wszystkich przedsiębiorstwach państwowych i kontrolowanych przez państwo, **wprowadzono 8-o godzinny dzień pracy — co stanowiło istny przewrót wobec „normalnego" 14-to godzinnego dnia roboczego, jaki obowiązywał dotychczas (i obowiązuje dotąd w Japonji). Zniesiono zupełnie pracę dzieci (darmową, na „dodatek" do pracy rodziców), a czas pracy młodzieży do lat 18-tu ograniczono do 6-ciu godzin. Terminatorom i uczniom przyznano wynagrodzenie miesięczne, (dotychczas nie otrzymywali nic, nawet utrzymania!), a wszelkie zarobki robotnicze podwyższono bardzo znacznie.**

Z dochodów osiąganych z dóbr upaństwowionych finansowane są roboty publiczne, a zwłaszcza nawadnianie i odwadnianie terenów.

Wprowadzono również **przymus powszechnego nauczania.** Kraj pokryto siecią szkół powszechnych, średnich i specjalnych (technicznych). Niezależnie od tego istnieją akademje wojskowe i kursy dla działaczy politycznych i społecznych — organizatorów i instruktorów. Nauka odbywa się wszędzie wedle zasad marksizmu.

W wojsku, zwalczanie analfabetyzmu, głównie przez wprowadzone na wzór sowieckie gazety ścienne redagowane przez samych żołnierzy daje znakomite wyniki.

WALUTA I SYSTEM MONETARNY

System monetarny opiera się ściśle na zasadach kapitalistycznych. Dwa banki emisyjne (w Tang Ku i Lung Yen), wypuszczają banknoty, ozdobione portretami Lenina i Marksa i cieszące się ogromnem wzięciem na obszerze **całych Chin,** nietylko w granicach państwa sowieckiego. Obroty w r. 1934 wyniosły **przeszło trzydzieści miljonów franków.**

Niezależnie od banków emisyjnych istnieje całe mnóstwo lokalnych banków rolnych i spółdzielczych, mających za zadanie dostarczanie taniego kredytu chłopom i spółdzielniom.

MOSKWA ZASKOCZONA

W zakończeniu rozdziału „Czerwona zagadka", zaznaczyliśmy, że nowe Chiny są „zarówno niebezpieczne dla Japonji, jak dla interesów innych, wspomnianych wyżej mocarstw, nie wyłączając — Sowietów".

To ostatnie może zdziwić Czytelnika. — Jasne jest, że nowe państwo chińskie przeciwstawia się energicznie zaborczości japońskiej i zachłanności amerykańsko - europejskiej, ale czemu stać się ma niebezpiecznem dla Sowietów, których zasady wciela jaknajskrupulatniej w życie?

A jednak tak właśnie się stało! —

Nowe Chiny przyjęły wprawdzie ustrój sowiecki ale jednocześnie nie omieszkały bardzo wyraźnie i stanowczo podkreślić, że w ten sposób chcą osiągnąć jedynie niezależność narodową i że rozbudzenie i wyhodowanie świadomego nacjonalizmu — ośrodka energji i tężyzny narodowej dla całych Chin — jest ich głównym celem.

Żółty nacjonalizm, przyswajał sobie łapczywie czerwone doktryny społeczne, ale ani na jotę nie zrezygnował ze swych ściśle narodowych czystochińskich celów.

I to postawienie sprawy utrąca z miejsca pieczołowicie i w skrytości ducha wypieszczone marzenie Kominternu o „zgruchotaniu zgniłego Zachodu" niezliczonemi falangami żółtych bojowników międzynarodowej rewolucji.

EUROPA NIE ROZUMIE...

Europa tego nie rozumie, tak jak nie rozumie olbrzymiego atutu, jaki w rozgrywce z imperjalizmem japońskim najeźdźców — stanowić może zorganizowany i należycie uzbrojony masyw nowych Chin. Europa lęka się „czerwonej zarazy" i dlatego z całych sił pomaga marszałkowi Czang Kaj Szekowi w jego walce z nowemi Chinami, choć wódz Kuomintangu już się porozumiał i zawarł sojusz ze sztabem armji kwantuńskiej.

Europę stać jedynie na zdziwienia pełne uwagi w raporcie Komisji Lyttona:—„...Sukces tego programu byłby bardzo znaczny (i może nim być) choć cała teorja komunistyczna stoi w sprzeczności z ustrojem socjalnym Chin". —

Europa nie zrozumiała ani słowa z tragicznej wymowy bohaterskiej rewolucji szanhajskiej...

Z GRANATAMI RĘCZNYMI NA CZOŁGI...

Nieszczęsne, wyzyskiwane, deptane w swej godności mocarstwowej — i czysto ludzkiej — Chiny — zdobyły się jednak na czyny, które **złotymi głoskami zapiszą się na kartach walki o wolność ludów i ich prawo do życia.**

W porywie buntu, przeciw utracie Mandżurji i Mongolji, w płomiennym proteście przeciw osławionym „punktom" japońskim, brutalnie miażdżącym godność narodową — zerwała się do walki młodzież chińska, studenci ponieśli w lud hasła bojkotu wszystkiego, co japońskie.

Rozpoczęła się zacięta, nieustępliwa walka narodu deptanego i policzkowanego przez obcego najeźdźcę — walka zakończona bohaterską rewolucją w Szanghaju i... haniebną zdradą marszałka Czang Kai Szeka.

Historja owych trzech dni, w których patrjotyczny proletarjat Szanghaju walczył pod wodzą studentów o wolność — jest jedną z najpiękniejszych walk o Niepodległość.

Przez trzy dni „czerwony Szanghaj" borykał się z przemocą, **przez trzy dni zagłodzeni, bosi kulisi, z granatami ręcznymi w dłoni rzucali się na kulomioty, auta pancerne i czołgi** — przez trzy dni „czerwoni" bohaterzy trupami mościli drogę artylerji Czang Kai Szeka, który, nim rozpoczął zbierać owoce tego zwycięstwa kulisów — już zdążył się porozumieć z międzynarodową kolonją agentów obcych mocarstw i... dzieło swe zapoczątkował od... odebrania broni swym „czerwonym" sprzymierzeńcom przy... **pełnej aprobacie delegata Moskwy** towarzysza Borodina, i całego Kominternu, którego oficerowie pełnili rolę doradców w sztabie żółtego Napoleona.

JAK UMIERALI?

A potem rozpoczęła się likwidacja „czerwonych": pomniejszych przywódców poprostu — rozstrzeliwano, znaczniejszych spotykała bardziej „honorowa" **śmierć... w piecach lokomotyw, które stojąc w zwartym szeregu na dworcu szanghajskim, raz w raz ponurym gwizdem oznajmiały, że oto jeszcze jeden „komunista" „poniósł zasłużoną karę" w rozpalonych wnętrzach ich pieców.**

I za ten czyn młode Chiny poprzysięgły wieczystą zemstę marszałkowi Czang Kai Szekowi.

„CZERWONE VERDUN" ATAKUJE...

Godzina porachunku zaś zbliżała się coraz szybciej...

Ofensywy przeciw „skomunizowanemu" Kiang si, ofensywy, zakrojone na szeroką skalę, szeroko rozreklamowane i... zafinansowane przez międzynarodową kolonję agentów obcych mocarstw, — **ofensywy, uzbrojone i wyekwipowane jaknajnowocześniej — nie potrafiły, nietylko rozbić, ale nawet nadwątlić armji rzekomych komunistów!**

W r. 1930 liczba jej wynosiła **niespełna 80.000 ludzi, uzbrojonych w... 50.000 karabinów, 5.000 rewolwerów, 600 kulomiotów, 160 dział (przestarzałego typu) i 5 samolotów.**

Ale za tą obdartą i licho uzbrojoną, w przeważnie na „białych" oddziałach Czang Kai Szeka, zdobytą, broń — armją — stały murem masy chłopów, rzemieślników i robotników — **stał Naród świadomy swych celów i drogi, stało społeczeństwo, zdecydowane bronić swoich wolności i zdobyczy, aż do ostatniej kropli krwi.**

Jedna po drugiej rozbijały się ofensywy Czang Kai Szeka o stalowy mur bagnetów i szabel tych komunarów Południa.

Wreszcie — ostatnia próba, **przygotowana i opracowana aż do najdrobniejszych szczegółów i przez najlepszych fachowców z twórcą Reichswery gen. von Seecktem na czele — zamieniła się w haniebną klęskę!**

„Czerwone Verdun" wzmogło się na tyle, iż uznało, że nadszedł czas, by **wystawić marszałkowi Czang Kai Szekowi rachunek za zdradę, i złamanie przymierza, za salwy plutonów egzekucyjnych i makabryczny świst lokomotyw z Szanghajskiego dworu.**

DZIEŃ DZISIEJSZY

Czerwona ofensywa idzie jak burza i jak huragan, niosąc na swych sztandarach hasło wyzwolenia Chin i hasło wyzwolenia gnębionych, uciskanych parjasów wsi i miast.

Marszałek Czang Kai Szek płaci rachunek za Szanghaj.

...A hen, na bezgranicznych przestrzeniach dorzecza Jan Tse Kiangu rośnie nowe życie i w orbitę walk na Dalekim Wschodzie, w orbitę walk na Dalekim Wschodzie, w przeprzededniu decydującej rozgrywki białej i żółtej rasy, na arenę wkracza nowy potężny czynnik — nowe odrodzone Chiny.

Stephen Osterhaagen.

Murzyn zrobił swoje...

Ojczyzna »płaci« swym oficerom

Społeczeństwo nasze dowiaduje się od czasu do czasu z krótkich enuncjacyj, że w Polsce istnieje Związek Oficerów Rezerwy. Jak już sama nazwa wskazuje, jest to organizacja byłych kombatantów, dość na naszym zróżniczkowanym gruncie naturalna, choć np. we Francji czy w Niemczech nie istnieją osobne związki oficerów rezerwy, a istnieją natomiast ogólne związki byłych kombatantów, zrzeszone według pewnych politycznych przekonań. Jeśli jednak u nas Związek Oficerów Rezerwy istnieje, to powołajmy się odrazu na zdania wielu autorytetów, **że wielką wojnę prowadził, wygrywał i przegrywał przedewszystkiem oficer rezerwy.** Oficer rezerwy wygrał szczególnie wojnę Polski z bolszewikami. Odzyskaliśmy bowiem niepodległość nie mając jeszcze własnej armji, poza kadrą legjonową, liczebnie nieznaczną, a po armjach zaborczych niewielu odziedziczyliśmy oficerów zawodowych, bo ich w tych armjach nigdy wielu nie było.

U NAS, A GDZIEINDZIEJ

Jeśli przeto pogodzimy się z faktem istnienia u nas odrębnego Związku Oficerów Rezerwy, to nie znaczy to jeszcze, że można się zgodzić na działalność Związku, która w sumie sprowadza się niemal do zera. I tylko dla porównania warto przyjrzeć się, jak wyglądają organizacje kombatanckie w innych państwach. Sięgnijmy do przykładu naszego najbliższego sąsiada zachodniego. Taki Stahlhelm, czy Kyffhäuserbund, czy wreszcie inne związki odgrywały niemałą rolę w życiu publicznem powojennych Niemiec. Taki Stahlhelm mógł sobie pozwolić na wysuwanie własnej kandydatury na prezydenta Rzeszy (przywódca Stahlhelmu, ppłk. Duestenberg). Hitler wygrał swego wielkiego szlema w rozgrywce o rządy Rzeszy **tylko przy pomocy byłych kombatantów,** których przyciągnął do siebie, wydobył z poniżenia, w jakie zepchnęła ich czerwona fala rewolucji, wskazał im cel i kazał walczyć o odrodzenie Niemiec. Przypominamy sobie, że podobnie, jak we Włoszech przedfaszystowskich, w Niemczech również były oficer w czasów Wielkiej Wojny był poniżany, łżony, opluwany przez motłoch, przeżarty gangreną komunizmu. Że wyrzucony ze zredukowanej do minimum armji były oficer plątał się w życiu niepotrzebny i lekceważony. Czy można się przeto dziwić, że w tych warunkach, wezwany **przez Hitlera,** stanął przy nim murem i uznał go za wodza, który miał odrodzić w przyszłości nietylko państwo, ale i przywrócić byłemu oficerowi właściwe znaczenie w społeczeństwie? Hitler przywrócił w narodzie niemieckim kult dla byłego kombatanta, a przedewszystkiem dla byłego oficera, który prowadził szeregi w bój; **przywrócił kult dla sztandarów,** pod któremi żołnierz niemiecki walczył i ginął. I wystarczyło widzieć moment, gdy na ostatnim kongresie partji narodowo - socjalistycznej w Norymberdze wyniesiono z muzeum na olbrzymi stadjon Zeppelina 120 sztandarów z Wielkiej Wojny, a tysiące sztandarów partyjnych pochyliło się przed niemi w hołdzie, aby zrozumieć, że czasy poniżenia byłego kombatanta niemieckiego minęły już bezpowrotnie. Dziś wszędzie na czele różnych urzędów stoją byli oficerowie, mając zapewnioną egzystencję.

Podobnie i wcześniej rzecz miała się w Italji. Przecież zalążek faszyzmu powstał nie zczego innego, jak właśnie ze związków kombatantów, które patrzyły czas jakiś bezsilnie, jak **czerwona międzynarodówka marnowała owoce ich ofiarnego zwycięstwa,** dopóki Mussolini nie porwał ich i nie poprowadził na Rzym.

We Francji każdy były kombatant pobiera zaopatrzenie ze skarbu państwa i zrzeszony w dwu potężnych organizacjach, potrafi bronić należycie swych praw, rzucając w decydujących dla państwa momentach swój głos na szalę. I nieraz jeszcze posłyszymy o akcji zbiorowej organizacyj kombatanckich francuskich.

W Stanach Zjednoczonych Ameryki Północnej zarówno Kongres, jak i Senat uchwaliły bonus dla weteranów z Wielkiej Wojny wbrew nawet woli prezydenta Roosevelta, gdyż reprezentanci narodu w ciałach ustawodawczych oceniają w całej pełni prawa byłych kombatantów do egzystencji.

TAM MASY W POLSCE... GARSTKA

Wszystkie te przykłady, tak różne od polskiej rzeczywistości, mają swą wymowę. Może właśnie dlatego, że wśród kombatantów innych narodowości niema takiego zróżniczkowania, jak u nas. U nas trzeba było stworzyć specjalną Federację Związków Obrońców Ojczyzny, aby **skonsolidować jako tako ruch kombatancki.** Bo zawiele mamy organizacyj, a każda jest oczywiście zbyt słaba. Taki Związek Oficerów Rezerwy na okręg warszawski liczy zaledwie 1500 członków, choć wiadomo, że w okręgu żyje kilkakrotnie więcej. Ale i najmniejsza organizacja może wykazywać odpowiednią prężność. Zobaczmy tymczasem, jak ma się rzecz ze Związkiem Oficerów Rezerwy.

STATUT, PUSTE SŁOWO BEZ TREŚCI

Jakież są cele Związku Oficerów Rezerwy? Sięgnijmy do statutu, zatwierdzonego przez Komisarjat Rządu m. stołecznego Warszawy, dnia 10 stycznia 1935 r. Ponieważ Związek istnieje już lat 15, a bez statutu istnieć nie mógł, jest to więc nowy, zmodyfikowany statut.

W punkcie 1) Statut głosi, że celem Związku jest **„zespolenie ideowe Oficerów Rezerwy na gruncie przynależności do Państwa Polskiego** i związanie z tym stanem praw i obowiązków (? — pytajnik nasz), a zarazem popieranie spójni między ogółem społeczeństwa, a jego siłą zbrojną, oraz popieranie działalności społecznej, stojącej na gruncie państwowości polskiej".

Pomijając, że wskutek wadliwej korekty sens tego punktu jest bardzo niejasny, stwierdzamy, że Okręg warszawski Związku ani nie jest spójnią między ogółem społeczeństwa, a jego siłą zbrojną, gdyż nic w tym kierunku nie robi, ani nie popiera działalności społecznej i t. d., gdyż też nic w tym kierunku nie robi. Zaś pierwsze zdanie tego punktu stanowi klasyczne otwieranie drzwi już otwartych, gdyż członkiem Związku może być tylko oficer rezerwy, stojący na gruncie państwowości polskiej.

Wspólne zebranie oficerów zawodowych i oficerów rezerwy ewent. nawet z rodzinami, przyczyniłoby się do wytworzenia owej spójni.

A oto punkt 2) Strzeżenie godności stanu oficera rezerwy.

Punkt ten posiada posmak humorystyczny, wiadomo bowiem, że oficerowie rezerwy, często członkowie Związku, zdani przez tenże Związek na łaskę losu, borykali się długo z nędzą, staczając się coraz niżej. Dziś wreszcie, ratując siebie i rodziny od głodowej śmierci, przyjmują wszelką pracę, bez względu na to, czy odpowiada ona ich kwalifikacjom, czy nie, Przykłady? Możemy ich natrząść, jak z rękawa. Były Prezes Okręgu Warszawskiego Związku Oficerów Rezerwy opowiadał, że dał złotówkę pewnemu **szatnemu jednego z Ministerstw,** ponieważ na klapie jego marynarki dostrzegł odznakę Związku. Przed kilku tygodniami wybuchł strajk wśród oficerów rezerwy i legjonistów, zatrudnionych przez Fundusz Pracy na „specjelnym kursie obrabiania kostki brukowej", ponieważ zarobki kursistów stały w rażącej sprzeczności z zarobkami „fachowców", którzy w tym samym czasie obrabiali tylko o 2 — 3 kostki więcej, a pobierali zarobki o kilkaset procent wyższe.

Oficer rezerwy M. z ukończonemi wyższemi studjami handlowemi w Lipsku pracuje **jako robotnik niewykwalifikowany przy robotach drogowych.**

Oficer rezerwy W. wniósł podanie do Generalnego Inspektora Sił Zbrojnych o zatrudnienie go w zakładach uzbrojenia na stanowisku, odpowiadającym jego kwalifikacjom. Podanie to przekazane zostało do Ministerstwa Pracy i Opieki Społ. i w rezultacie doszło do Urzędu Pośrednictwa Pracy. Urząd wezwał pewnego dnia petenta w sprawie pilnej pracy i posłał go do **układania kamieni przy naprawie mostu Kierbedzia.**

Takich przykładów moglibyśmy przytoczyć setki. Wystarczy przejrzeć listę personelu np. tramwajów miejskich, aby się przekonać, ilu oficerów rezerwy pełni funkcje motorniczych, konduktorów i t. p.

W związku z tem, niemniej humorystycznie wyglądają punkty 6 i 7 statutu Związku, z których pierwszy mówi, że celem Związku jest również organizowanie „materjalnej samopomocy dla członków i ich rodzin", zaś drugi o „pomocy lekarskiej i prawnej dla członków, ze szczególnem uwzględnieniem praw, wynikających z tytułu byłej czynnej służby wojskowej".

PRZYGOTOWANIE WOJSKOWE I WYCHOWANIE FIZYCZNE

Tą sprawą zajmują się, aż trzy punkty statutu. Nie możemy zaprzeczyć, że w tej sprawie coś się w Związku dzieje, ale jest to tylko namiastka tego, co się zdziałać powinno. Naczelny Wódz zdaje sobie dokładnie sprawę, że w organizacji siły zbrojnej oficer rezerwy oddać może nieocenione usługi i istnieje nawet osobny rozkaz, zalecający **oddawanie pracy z zakresu P.W. i W.F. oficerom rezerwy,** ale rozkaz ten w nielicznych tylko wypadkach został wykonany. Przy Okręgu warszawskim Związku Oficerów Rezerwy urządzony został i prowadzony jest odpowiedni kurs, na to tylko, aby przeszkolonego ponownie oficera pozostawić w następstwie znów jego własnemu losowi, zamiast użyć go w kadrze instruktorskiej.

DO CZEGO IDZIEMY?

W rezultacie mamy dalszy typowy przykład pracy bezcelowej. Bezcelowe jest istnienie Związku, który, nie wykazując żadnej siły atrakcyjnej, pozostawia poza Związkiem 90% oficerów rezerwy; nie wykazuje żadnej siły żywotnej, nie czyni bowiem nic nawet na polu zbliżenia towarzyskiego oficerów rezerwy i ich rodzin; nie prowadzi bibljoteki, która stale jest zamknięta; nie stara się o umożliwienie egzystencji swym członkom; **nietylko nie strzeże godności stanu oficerskiego,** ale pozwala na jego wyraźne poniżanie; pozostawia ich bez opieki prawnej, bez opieki lekarskiej, bez pomocy w ciężkich momentach. Nie przeczymy, że są w zarządzie ludzie dobrej woli, ale są oni w mniejszości. Wybory do zarządu odbywają się w ten sposób, że ustępujący zarząd ma już z góry przygotowaną listę, którą podaje walnemu zebraniu delegatów do zatwierdzenia. Na liście zaś z roku na rok figurują tesame nazwiska. Związek stał się więc **towarzystwem wzajemnej adoracji członków zarządu,** którzy uznają swoje zasługi, położone dla Związku i proponują się do wybrania na następną kadencję.

Tak z grubsza przedstawia się tragi-groteska ze Związkiem Oficerów Rezerwy. Ale, gdy nadejdzie moment najwyższej potrzeby, tego oficera, który dziś tłucze kostki brukowe, czy układa kamienie na moście Kierbedzia, powoła się do prowadzenia kompanji przeciw nieprzyjacielowi. **Dawniej szewcy i rzeźnicy za czyny wojenne zostawali oficerami; dziś oficerowie za czyny wojenne zostają szewcami i kamieniarzami.** A ci członkowie Związku, którzy mogliby się przyczynić do zmiany skandalicznych stosunków, poprzestają na płaceniu składek, nie interesując się zgoła pracami Związku. Do takich należą w pierwszym rzędzie różni dygnitarze.

I ani rady, ani ratunku.

Ale my do tej sprawy jeszcze powrócimy, zaś wszystkich oficerów rezerwy prosimy o współpracę, a może radę znajdziemy.

bur.

Trują nas, rodacy!

»Smaczne« mleczka, masełka, śmietanki

W dużych firmach mleczarsko-nabiałowych, wywieszane są na najbardziej widocznem miejscu wyniki analiz wyrobów firmy, przeprowadzonych przez Państwowy Instytut Badania Środków Żywnościowych.

Opinja taka opiewa zwykle, że badany artykuł, powiedzmy mleko, wykazał zawartość tłuszczu wyższą od przepisanej ustawowo,

jest więc artykułem pełnowartościowym.

Bezsprzecznie, świadectwo tego rodzaju będzie dla laika gwarancją jakości towarów danej firmy.

Niewtajemniczeni nie wiedzą, że analiza mleka specjalnie przesłanego, a wykonana na zamówienie i koszt firmy,

jest poprostu fikcją

nic nie mówiącą o wyrobach i służy jedynie do celów reklamowych.

Dziwi nas, że przedsiębiorstwa tak chętnie korzystające z orzeczeń Inst. Bad. Środ. Żywn. nigdy nie podają do wiadomości publicznej

stwierdzeń lotnej komisji kontrolnej tegoż Instytutu.

Czyżby miarodajna analiza próbek pobranych przez funkcjonarjusza państwowego tak bardzo różniła się od badań przeprowadzonych nad mlekiem przesłanem przez przedsiębiorstwo?

Poza tem mleko ma to do siebie, że można je odtłuścić

nawet na parę minut przed

dostarczeniem konsumentowi.

Oczywiście, przedsiębiorstw mających na rynku dobrą reputację nie posądzamy o tego rodzaju machinacje. Chociaż czasami właściciel firmy, zbytnio ufający przeciążonemu pracą kierownikowi, często nie wie jakie cudeńka dzieją się w jego przedsiębiorstwie.

Bo praca w rozlewni czy też przetwórni odbywająca się

w nocy w gorączkowem tempie,

jest niemożliwa do skontrolowania.

Często dla pośpiechu zamiast laboranta, kontrolę kwasoty mleka **przeprowadza furman i to nie alizarolem,** lecz „na smak" pijąc bezpośrednio z czterdziestolitrowej bańki. Wrazie zastrzeżeń co do wytrzymałości mleka furman zwykle ucieka się do pomocy...

wyklętej sody.

Na tę chwilę kierownik przedsiębiorstwa zamyka oczy, by z czystem sumieniem móc twierdzić, że jeszcze nigdy nie widział żeby utrwalano mleko firmowe.

Także niezbyt uczciwie przedstawia się sprawa masła sprzedawanego na rynku w opakowaniu firmowem. Boć nie zawsze etykieta najpoważniejszej firmy jest dowodem pochodzenia masła. Jakże często towar od jakiegoś Ajzenberga przy ul. Świętojerskiej jest sprzedawany w etykietach

poważnego, aryjskiego przedsiębiorstwa.

Po prostu firma godna zaufania przepakowała w celu uzyskania lepszej ceny towar pochodzący z ul. Świętojerskiej w swoje, budzące szacunek etykiety.

Także i apetyczny kolor śmietany wyrabianej przez renomowane wytwórnie nie jest naturalnym bo został otrzymany przez dodanie niemieckiej farby. Zresztą ten zabieg jest .. prawnie dozwolony.

Oto garść szczegółów świadczących, że nie wszystko złoto, co firmowe.

Wist.

BAGIENKO FILMOWE

Kradną, kradną, kradną!

»Moralne« oblicze świata filmowego

Pośród standartowej produkcji filmów w Ameryce, robionych podług zgóry ustalonych recept, zdarzają się na szczęście wybitne indywidualności reżyserskie, które unikając szablonu, mocą własnego talentu potrafią nadać swemu dziełu piętno prawdziwej sztuki.

Mamy tu na myśli takich reżyserów, jak np. **C. B. de Mille'a, R. Mamouliana, E. Lubitscha, J. v. Sternberga, Fr. Borzage'a** i wielu innych.

Co jednak ma uczynić przeciętny reżyser - wyrobnik, pozbawiony wszelkich inwencyj twórczych, wyżej wymienionych mistrzów?

„Tworzy" zatem film według utartych i wyświechtanych form i pomimo tego, tu i ówdzie w jego, dość przeciętnym filmie, trafiają się **fragmenty przepojone wysoką kulturą i artyzmem.**

Nasuwa się tedy pytanie jakim sposobem ten skądinąd mierny reżyser zdobył się na tak artystyczne ujęcie pewnego momentu.

Czy podczas kręcenia filmu, ów reżyser doznał mniej lub więcej cudownego nawiedzenia lub objawienia, czy też może w jego umyśle **obudziła się cząstka utajonego talentu,** który drzemał dotąd w głębinach podświadomości?

Odpowiedź na te wszystkie pytania będzie bardzo prozaiczna, toteż rozczaruje w pierwszym rzędzie tych, którzy doszukiwaliby się wielkich rewelacyj psychologicznych, lub też wertowaliby grube tomy, poświęcone teorji freudyzmu, dla wyjaśnienia dręczącej ich zagadki.

Otóż reżyser ów **wyciął sobie poprostu z filmu zdolniejszego kolegi** najbardziej artystyczny fragment i najbezczelniej w świecie wmontował go do swego filmu.

Nie chcąc być gołosłownymi, przytoczymy poniżej szereg przykładów.

Wszyscy zapewne pamiętają demonstrowany w sezonie ubiegłym film p. t. **„Świat idzie naprzód"**, wytwórni „Foxa" reżyserji Johna Forda.

Otóż cały fragment batalistyczny, przedstawiający bitwę na opuszczonym cmentarzu, oraz zaimprowizowany szpital w kościele — **jest żywcem skradziony z filmu „Drewniane krzyże"** wytwórni Pathe Natan w Paryżu.

W tym wypadku poszkodowanym był jeden z najgenjalniejszych reżyserów francuskich Raymond Bernard, twórca „Cudu wilków", „Nędzników", oraz wielu innych znakomitych filmów.

Te 200 czy 300 metrów, które mister John Ford wlepił bez skrupułów do swego filmu, dosadnie charakteryzują **specyficzną etykę** niektórych reżyserów, hołdujących sposobom mr. Forda.

Mr. John Ford liczył widocznie na krótką pamięć widzów, którym mimowoli przez dziwne skojarzenie myślowe przyszło na pamięć w związku z jego postępkiem prawo autorskie, oraz **małe pomieszczenie z kratkami w oknie,** niezbyt wygodne wprawdzie, ale z bezpłatnem utrzymaniem.

„Wyczyn" Johna Forda, naszem zdaniem, dość jaskrawo ilustruje metody reżyserów amerykańskich, stosowane podczas masowej produkcji filmów.

Metody te znajdują również swe dość szerokie zastosowanie, niestety, i u nas.

Dla przykładu wymieńmy niezbyt udały film reżysera Aleksandra Forda p. t. „Przebudzenie". Po krótkim i niesławnym żywocie na ekranach stołecznych, plątał się ów film po prowincji i wreszcie legł w pyle zapomnienia gdzieś w lamusie pechowego biura filmowego, które go lekkomyślnie nabyło.

Jest tam szereg scen **żywcem wyciętych z sowieckiego filmu p. t. „Symfonja Donbasu"** reżyserji Wiertowa.

Sceny takie jak np. ludzie przechodzący mostem, robotnicy, zdążający do pracy, walące młoty — wszystko to zostało wlepione do filmu „Przebudzenie".

Jak widzimy reżyser John Ford i Aleks. Ford przy identycznie brzmiących nazwiskach, ujawniają zadziwiająco **jednakowe i dość swoiste metody „pracy reżyserskiej".**

Czyż trzeba jeszcze wspominać o „wyczynach" naszych „indywidualności" reżyserskie, które potrafią wmontować do swoich filmów nietylko krótkie kawałki plenerowe (**„Czarna perła"**), ale nawet i całe fragmenty, jak np. w filmie „Awanturki jego córki", gdzie wlepiony został dłuższy fragment z filmu **„Zuzanna Lennoux"** z Garbo w roli głównej.

Już chyba narazie dość przykładów, panowie „reżyserzy"!

Na przyszłość przed wmontowaniem kawałków z cudzych filmów, radzimy p. p. reżyserom zajrzeć do grubej księgi, zwanej **Kodeksem Karnym** i uważnie przejrzeć rozdział, poświęcony prawu autorskiemu.

Będzie to lektura ze wszechmiar ciekawa, pouczająca, a przedewszystkiem ostrzegająca przed ryzykownemi „pożyczkami".

Qui - qui.

Genjalny Misza

W świetle prawdy

Artykulik, poświęcony „mistrzowi" Waszyńskiemu, który ukazał ię w poprzednim numerze, wywołał liczne echa. Z różnych stron dochodziły nas głosy obrońców tego sympatycznego tandeciarza. Zarzucono nam stronniczość, przytaczając, jako argumenty, żeśmy zacytowali w artykule jedynie

słabe filmy mistrza,

poniżając jego niewątpliwe arcydzieła.

Pragniemy więc jeszcze raz — chyba już ostatni! sprecyzować nasze stanowisko w tej sprawie. Twierdzimy stanowczo, że działalność pana Michała Waszyńskiego w dziedzinie filmu jest wybitnie szkodliwa, ponieważ nikt inny, tylko właśnie on, nauczył naszych producentów

fabrykowania filmów na zalapanego,

za grosze, bez najmniejszej ambicji twórczej.

Obrońcy naszego mistrza twierdzą, że Waszyński umie robić dobre filmy, ale okoliczności tak się nieszczęśliwie złożyły, że nie może jakoś z nich wybrnąć . Przyznajemy słuszność, ale „okoliczności" te nazywają się: brak talentu, brak ambicji twórczej i kompletna nieudolność artystyczna. Na takie okoliczności rzeczywiście niema rady!

Waszyńskiemu udały się faktycznie dwa filmy, może nawet trzy. Ale które? Filmy, wyprodukowane dla Eugenjusza Bodo w tych czasach, kiedy

Bodo miał jeszcze ambicje twórcze.

Wszyscy o tem wiedzą, że przy pracy nad temi filmami głos decydujący miał Bodo, a nie Waszyński Zresztą... w „Pieśniarzu Warszawy" nie było ani jednej sceny oryginalnej, własnego pomysłu. Wszystko od początku do końca

było „zapożyczone"

z filmów zagranicznych. Ukazał się nawet artykuł na ten temat w czeskim dzienniku „Lidove Noviny". Teraz dalej: „Jaśnie Pan Szofer" nakręcony był podług gotowego scenarjusza i drehbuchu niemieckiego. Pozostaje więc tylko „Jego Ekscelencja Subjekt".

Mówiono kiedyś, że Waszyński robiłby napewno piękne i dobre filmy, gdyby mu dano odpowiednie kapitały. Bzdury. Cała nieudolność mistrza wyszła na jaw, gdy robotę filmu

powierzyła mu amerykańska wytwórnia Universal,

która nie szczędziła pieniędzy. Oddano wówczas Waszyńskiemu do dyspozycji wszystko, czego tylko chciał. A co z tego wyszło? Beznadziejny kicz „Kocha, lubi szanuje", który był może jednym z najgorszych tworów mistrza.

Przyjaciele Waszyńskiego, którzy twierdzą, że „Misza" umie robić dobre filmy, ale robi złe,

robią mu niedźwiedzią przysługę,

bo jeśli faktycznie tak właśnie byłoby, ich przyjaciel byłby jeszcze bardziej godny potępienia! **(k).**

„TRUCICIEL"

Jeszcze nie przebrzmiały echa głośnego procesu inż. Grzeszolskiego, a oto już na półkach księgarskich pojawiła się niezwykle interesująca broszura obrońcy oskarżonego „truciciela z Sosnowca" wybitnego adwokata polskiego mec. Hofmokl - Ostrowskiego, zatytułowana: „Truciciel z Zagłębia".

Mec. Hofmokl w syntetycznym skrócie dziennikarskim obrazuje ponurą tragedję sosnowiecką; opierając się na akcie oskarżenia wygotowanym przeciwko inż. Grzeszolskiemu, rozpościera przed czytelnikiem polskim niesłychanie pasjonujący obraz tragedji człowieka oskarżonego o najpotworniejszą zbrodnię — otrucie własnych dzieci.

Broszurę mec. Hofmokla, która dopiero niedawno wydobyła się z czułych objęć.. cenzury, czyta się z niesłabnącem zainteresowaniem, tak zresztą jak wszystkie inne, niezwykle pasjonujące wydawnictwa tego świetnego adwokata, którego talent prawniczy walczy o lepsze z niepowszednim talentem rasowego dziennikarza.

(w).

Ziemia i ludzie

Garść ciekawych cyfr

W związku z dokonaną, a raczej proklamowaną przez Rząd Italji aneksją Abisynji oraz stworzenia z macierzy włoskiej wraz z jej kolonjami Imperium z królem Emanuelem jako Cesarzem Abisynji na czele, ciekawem jest stwierdzenie dotychczasowego zaludnienia Italji wraz z kolonjami i jej dotychczasowego obszaru, a to w porównaniu z obszarem i zaludnieniem największych europejskich państw posiadających kolonje.

Wedle oficjalnych danych, półwysep italski w obecnych granicach królestwa obejmuje powierzchnię 310.150 kw. km. o ludności 44 miljonów. Kolonja libijska ma obszar 1.774.000 kw. km. z 704.100 mieszkańcami, Somalja italska 506.572 kw. km. z ludnością 1,021.500, Erytrea 119.472 km. kw. o ludności 600,500, wyspy Dodekanezu oraz koncesja w Tientsin 2.698 km. kw. o ludności 21.500. Razem przeto obszar Italji wraz z jej dotychczasowemi kolonjami i koncesją w Tientsin wynosił 2,712.892 km. kw. o ludności 46,463,200.

Przez aneksję Abisynji obszar ten zwiększył się o dalsze 1,494.400 km. kw. o ludności wedle stanu z końca r. 1935 10,400.000, tak, że przyjmując fakt tej anekcji jako dokonany i utrwalony, obszar Imperium italskiego wynosi obecnie 3,862.292 km. kw. o ludności 56,863.200.

Mimo tak znaczne powiększenie swych posiadłości i swego stanu posiadania pozostanie Imperium italskie bardzo daleko jeszcze poza Anglją, zajmując miejsce poza Francją i Holandją.

Obszar bowiem Imperium brytyjskiego razem z Egiptem mierzy 35,597.000 km. kw. o ludności 511,612.000, Francji z kolonjami 12,540.000 km. kw. z ludnością liczącą 38.100.000 głów, oraz Holandji mającej wraz z kolonjami obszar wprawdzie mniejszy niż Italja, wynoszący bowiem tylko 2.080.000 km. kw. ale o znaczniejszym zaludnieniu, które wynosi 69.258.000.

Dla ścisłości nadmienić jeszcze należy, że obszar Anglji wraz z jej kolonjami stanowi 27% całego obszaru świata, zaludnienie zaś Imperjum brytyjskiego wynosi 25% zaludnienia całego globu ziemskiego.

Cały bowiem świat, dotąd nam znany ma powierzchnię 132,940.000 km. kw., ludność zaś całego globu wynosi 2,044,551.000.

Z europejskich państw kolonjalnych wymienić jeszcze należy Hiszpanję o powierzchni — łącznie z kolonjami — 837 tys. km. kw. i ludności 25,005.000 wreszcie Portugalję o powierzchni również łącznie z kolonjami, 2,187.000 z ludnością 15,519.000.

Z zestawienia tego okazuje się ponad wszelką wątpliwość, że Anglja stanowi i nadal największą w świecie potęgę mocarstwową - kolonjalną. **(an).**

Drobiazgi

International Sporting Club w Monaco postanowił na ostatnio odbytem zebraniu zaniechać w przyszłości zjazdów międzynarodowych sporstmenów do Monaco, a to z uwagi na wielkie deficyty, jakie dotychczasowe zjazdy te za sobą pociągały. Ponadto jako przyczynę tej decyzji podał I. S. C. zanik zainteresowania u sportowców międzynarodowych, t. zw. długodystansowców.

Wobec tego, że S. A. Casino de Monaco spowodu poniesionych w ostatnich kilku latach znacznych strat, odmówiło I. S. C. dalszego subwencjonowania jego międzynarodowych imprez, nie pozostało temuż nic innego, jak zaniechać patronowania słynnym w Europie raidom gwiaździstym.

Odbyty w r. b. w styczniu zjazd, był skolei 15-tym, a zarazem i ostatnim. **(a).**

✶

Ogłoszone ostatnio przez Państwowy Instytut Statystyczny w Paryżu dane dotyczące t. zw. ruchu ludności we Francji wykazują za rok 1935 nadwyżkę śmiertelności nad przyrostem w ilości 19.000 głów.

W roku sprawozdawczym przyszło we Francji na świat dzieci żywo urodzonych 638.881 — (w r. 1934 677.365) — zmarło zaś w tymże roku 1935 658.357 — (w r. 1934 634.525).

KRZYSZTOF MIŁOSZ

MILJONY

7.

Powieść

I widok tego człowieka upewnił pana Feliksa ponad wszelką wątpliwość, że w życiu jego jednak coś się zmieniło zasadniczo.

Ba, może za parę tygodni jechać będzie tą samą szosą, rozbryzgując wokół błoto pneumatykami własnego samochodu. Może nawet kupi sobie którąś z tych willi schowanych za gęstemi żywopłotami i nazwie ją... „Krążówek", „Felisin", albo jeszcze lepiej „Bdziubdzin" od zawołania, którem w chwilach łaskawości darzyła go magnifika.

Było mu coraz to różowiej.

Chciał nawet zaśpiewać pewnego krakowiaczka zapamiętanego jeszcze z lat dziecięcych: „Albośmy to jacy tacy, jacy tacy...", gdy wtem cały czar prysł!

Za zakrętu bocznej uliczki zamajaczyła okrągła postać Kratokopulosa.

Grek biegł, jak sam Achilles, trzymając w jednej ręce kapelusz, a w drugiej... gazetę, najwyraźniej w kierunku „Frywolina".

Wrażenie było tak silne, że aż pan Feliks zwisł bezradnie, jakby był tylko własnem paltem, przerzuconem przez oparcie bryczki.

— Mój pryncypał, — wyszeptał z trudem do doktora.

— Ta wal go batem, prędzej, — zakomenderował prawnik. Bryczka potoczyła się żwawo, mijając skręt zanim Kratokopulos zdążył go osiągnąć.

— Czego on chciał? — zapytał Szmendryniuk buchaltera, gdy już byli daleko.

— Myślę, — odparł miljoner drżącym głosem, — że szedł wymówić mi posadę. Niedobrze jest, jak pracownicy solidnej firmy są opisywani w gazetach...

— Bardzo możliwa, — potwierdził doktór, — nieraz zdarzały się takie wypadki. Sam słyszałem o jednej firmie w Złoczowie... — i uciął, jak to mu się często zdarzało, zmieniając zakończenie frazy w uśmiech pełen życzliwości, oczywiście skierowany do pana Feliksa.

ROZDZIAŁ IV

„Zawsze wierne" miasto przywitało obu przybyszów z Buska, doskonale udaną obojętnością.

Ani delegacji z orkiestrą, ani transparentów, ani nawet dziennikarzy żądnych wywiadu nie spotkano na dworcu.

Incognito było zachowane tak znakomicie, że aż pan Feliks czuł się tem trochę dotknięty. Był dotychczas tak mały i mało znaczący, że chętnie widziałby się wysuniętym ponad przeciętność, ale cóż, omówili to już w czasie drogi z doktorem.

— Musimy zachować jaknajdalej idącą ostrożność, — wyjaśnił prawnik. — Nikt nie śmie wiedzieć, gdzie się pan znajduje. W ten sposób jedynie zyska pan na swobodzie ruchów. W przeciwnym razie — zginęliśmy. Mógłby pan stanąć naturalnie u George'a, nie mielibyśmy tam ani chwili spokoju. Pan nie zna Lwowa. Jak tylko tutejsze batjary, zwiedzą się, że pan przyjechał — przepadło.

Co mianowicie „przepadło", generalny plenipotent nie dopowiedział, miljoner zrozumiał jednak, że genjalna przezorność tego człowieka, znająca do gruntu wszelkie niebezpieczeństwa i zasadzki usiane na jego drodze, omija je zawczasu...

Pełen więc wdzięczności oraz niemego podziwu, dał się Feliks Krążek zawieść do pokoi umeblowanych „Vindobona", których właściciel znał doktora Szmendryniuka od „takiego, ot — bękarta!"

W „Vindobonie" pachniało, prawdę mówiąc, czemś, co możnaby było nazwać antiaromatycznem nawarstwieniem woni pozostałych po wędrówce narodów plus... koty, ale — pan Feliks był człowiekiem skromnym i przywyczajonym, w okresie swej tułaczki, od wielu rzeczy, a więc nawet nie zwrócił uwagi na taki drobiazg.

Pokój natomiast był wcale, wcale...

Zwłaszcza czerwone kotary przy drzwiach i koło okna mile ożywiały nieco ciemny i niewyraźny ton obicia.

Po ulokowaniu rzeczy, doktór Szmendryniuk doradził zjeść kolację na miejscu, nie wychodząc z numeru. Umotywował to koniecznością konspiracji, poczem udał się na miasto, zapowiedziawszy, że jutro z samego rana przyjdzie z mecenasem Zylbersztainem. by rozpocząć. już wspólnie dalsze kroki, celem odzyskania spadku.

Pan Krążek nie oponował, ani nie dziwił się niczemu. W naturze jego leżało już, że skoro raz powierzył swoje losy przedsiębiorczości dr. Szmendryniuka, czuł się absolutnie bezpieczny.

Przecież gdyby jemu, Feliksowi Krążkowi, ktoś, powiedzmy dr. Szmendryniuk, zawierzyłby swoją osobę, on nie spałby, ani nie jadł, a wykonał przyjęte obowiązki.

Zjadłszy więc przyniesiony przez właściciela „Vindobony" sznycel z jajkiem ,schronił się Krążek pod pikowaną kołdrę i po kilku nieudanych próbach zebrania syntezy ubiegłego dnia — zasnął smacznie.

Noc, krótka, gorąca noc letnia, nie była zbyt łaskawa dla pana Feliksa. Złożyło się na to, po pierwsze: sny, po drugie: ludzie.

Sny jak sny. Śnił mu się szef, Kratokopulus, groźny, goniący go z nożem i widelcem monstrualnych rozmiarów, jakby chciał pożreć własnego naczelnego buchaltera. Potem śniła mu się kochanka szefa. Bez noża i widelca, ale... gorzej, bo jak to mówią — zgoła bez szatek. Piękna ta bezwątpienia kobieta ścigała pana Feliksa, a wyraz jej oczu był niemniej łakomy od wyrazu oczu setek tysięcy mieszkańców Lwowa i Buska, którzy zgromadzeni przed dworcem, szykowali się by... skonsumować miljonera. I oto poczciwy doktór Szmendryniuk ocalił pana Krążka, biorąc wszystkie... miljony na siebie. To były sny. Z ludźmi było jeszcze gorzej.

Spokojny, miły, cichy w ciągu całego wieczoru hotel - pension „Vindobona" z nastaniem mroku napełnił się niemilknącym gwarem nieoczekiwanych rozmów, krzyków, westchnień i szmerów.

Bezustannie trzeszczały schody, jacyś ludzie, pan Feliks podejrzewał, że towarzystwo było mieszane, prowadzili długie rozmowy z właścicielem, nazywając go w dodatku, jakoś tak: „pieska, twoja niebieska". Potem ktoś śpiewał, ale musiał być bardzo zmęczony, gdyż ciągle zapominał melodji. W pokoju obok jakieś „małżeństwo" kłóciło się, jak można było przypuszczać o drobne stosunkowo sumy pieniężne, gdzieś, komuś niedopłacone, ktoś pojękiwał astmatycznie, ktoś znów śmiał się przeciągle, pobekująco...

Wszystkie te odgłosy, przenikające przez cienkie ściany do pokoju, działały na podniecona wyobraźnię pana Feliksa, jak dotkliwe ukłócia. Więc też z prawdziwą ulgą zrobił odkrycie, że jeśli uda się człowiekowi okręcić szczelnie głowę kołdrą, to mimo, iż słabsza strona jego osoby jest temsamem radykalnie wystawiona na chłód, może jednak zerwać w ten sposób kontakt z otaczającym go światem i spać spokojnie do samego rana.

Zbudził pana Krążka skrzyp otwieranych drzwi i głos doktora Szmendryniuka, wyjaśniający komuś obcemu:

— To właśnie on...

Przytoczony zwrot świadczył dobrze o zdolnościach spostrzegawczych prawnika, gdyż przypominamy sobie, iż część osoby pana Feliksa pozostawiona po za obrębem kołdry, nie nadawała się zasadniczo do tak błyskawicznego rozpoznania, chociażby dlatego, że niemiała nic wspólnego z.. twarzą.

— Dobrze sobie śp' — odpowiedział obcy głos.

Buchalter z wrodzoną sobie skromnością, przykrył śpiesznie kołdrą pięty i powyżej, poczem zwróciwszy oswobodzoną w ten sposób głowę ku przybyłym, powiedział:

— Dzieńdobry panom.

— Dzieńdobry, —

zgodnie obaj gentlemani, zaś doktór Szmendryniuk przedstawił buchalterowi swego towarzysza:

— Pan mecenas Zylbersztain, o którym wczoraj panu mówiłem.

Mecenas okazał się człowiekiem miłym, a w każdym razie znacznie bardziej rzeczowym od swego wspólnika.

W czasie krótkiej rozmowy wydobył od Krążka skondensowany rys biograficzny, uwydatniający stopień pokrewieństwa z bogatym stryjem nieboszczykiem, oraz obraz bieżącej sytuacji.

Zaufanie buchaltera podniósł fakt dużej drobiazgowości i staranności z jaką mecenas przyjmował te szczegóły, notując je w grubym notesie. W dodatku, przy przyjmowaniu do wiadomości poszczególnych danych, jak np. daty zawarcia związku małżeńskiego z panią Marcysią, mecenas chrząknął grubym basem, jakby kwitując tym dźwiękiem otrzymane wiadomości.

Odgłosy te, aczkolwiek różne były zasadniczo od pełnych entuzjazmu wykrzykników doktora, brzmiały nuta tej specjalnej solidności, jaka osobom żyjącym w sferze sprawiedliwości dostarcza klijentów.

— To już byłoby wszystko, co pragnąłem wiedzieć, — zakończył swą indagację mecenas, chowając notes do kieszeni surduta. — Musimy teraz jeszcze tylko nakreślić zasadnicze punkty naszej umowy. Więc pan, — tu rozpoczął wyliczać na placach, — powierza nam, to jest mnie i panu doktorowi Szmendryniukowi rewindykację spadku po zmarłym, świeć Panie nad jego duszą, Szymonie Krążku, pańskim przyrodnim stryju, w czwartym stopniu pokrewieństwa. Tak. Za czynności, opłaty i stemple, jak również i stosowaną korespondencję ja i doktór Szendryniuk otrzymamy tytułem honorarjum czterdzieści procent sumy spadkowej przypadającej panu z testamentu pana Szymona Krążka, stryja..

— Tak, stryja w czwartym stopniu pokrewieństwa, — wtrącił ze znajomością rzeczy doktór Szmendryniuk.

— Czterdzieści procent? — spytał pan Feliks niespokojnie, — czy nie wydaje się to panom zbyt wygórowane?

Obaj prawnicy spojrzeli po sobie, jakby chcąc sprawdzić, że taż tak proste i oczywiste rzeczy, trzeba jednak ludziom wyjaśniać. Poczem mecenas Zylbersztain powiedział:

— W każdym razie, nie mniej, łaskawy panie. Stosownie do obowiązujących w Galicji ustaw, należy się nam dziesięć procent od uzyskanej sumy, to jest dla mnie dzisięć, a z panem doktorem, to ile będzie?

— No, dziesięć i dziesięć... — jąkał się zapeszony Krążek.

— Właśnie! Dziesięć i dziesięć będzie dwadzieścia. Do tego przychodzą przepisy przejściowe z roku 1918 na pięć procent, nie licząc kosztów postępowania i podatek spadkowy w Ameryce, najmniej dziesięć do dwunastu procent, więc już radco szanowny znachodzi się trzydzieści pięć procent, stempel i opłaty rejentalne dwa i pół, gmina miasta Lwowa — jeden, akt i odpis testamentu — pół procent, świadkom za stawiennictwo po dwadzieścia cztery korony djet, plus przejazdy kolejowe, drobne i różne też coś kosztować będą, nie licząc jeszcze tego wszystkiego co może kosztować korespondencja i opłaty konsularne. No i co pan widzisz?

Tutaj mecenas zrobił dłuższą pauzę, patrząc na Krążka nie jak na człowieka, a jak na... rzecz.

Po chwili zaczął znów:

— Teraz widzisz pan, że zarobek nasz, jeśli wogóle będzie, to będzie minimalny i doprawdy, określając procent zgóry, narażamy się obaj z panem doktorem na poważne ryzyko...

Buchalter musiał przyznać, że wymowa cyfr była najzupełniej przekonywująca.

— Ale, ale, o jeszcze jedno chciałem zapytać radcę dobrodzieja, — skłonił się mecenas, — a jak jest z talarami?

W pokoju zawisło milczenie. Krążek przyglądał się ze zdumieniem panom, panowie czekali na odpowiedź Krążka.

— A... a... przepraszam. O jakie talary szanowny pan pyta?

— Ta przecież nie o Marji Teresy, panie radco. O te nasze, państwowe. Bo procent, procentem, a na pierwsze kroki potrzeba gotówki, — padło zimno.

Krążek jakgdyby z zawstydzeniem okrył się kołdrą, kuląc nogi pod siebie.

— Panowie złoci, przecież ja mówiłem, ja niemam... co oszczędziłem, to wszystko... w Busku... — bąkał.

— No widzi pan, pieniążki przehulało się, — rozpoczął mecenas dobrodusznie.

— Kolego, — zmitygował go doktór Szmendryniuk, — pan dyrektor w Busku leczył się.

— Wiem, wiem, — Zylbersbtain łaskawie poklepał Krążka po plecach.

— To było tylko zwyczajne bon mote. Więc gotówką pan dyrektor nie rozporządza w tej chwili żadną?

— Nie, panie mecenasie.

— No to w takim razie ja panu dyrektorowi prywatnie pożyczę, a pan mi tylko rewersiki.

— Kiedy ja pieniędzy nie potrzebuję, ja mam posadę... — bronił się przed widmem weksli Krążek.

— Ta to też wiem. Ja pożyczam panu, żeby pan miał czem mnie zapłacić. Więc powiedzmy na początek trzeba będzie jakieś dwa tysiące złotych, — tu mecenas na pudełku od papierosów szybko coś zsumował i, — tak, mniej więcej dwa tysiące będzie wydatków. Więc ja daje te pieniądze panu, pan je oddaje mnie razem z wekselkiem.

— Na dwa tysiące...

— Nie... Na trzy, panie dyrektorze złociutki!

(d. c. n.).

Tydzień ubiegły

Gęste mgły kłębiące się od dłuższego czasu nad sytuacją wewnętrzną Rzeczypospolitej rozdarł i... rozproszył pierwszy piorun majowy — nowy gabinet premjera gen. Składkowskiego.

Wiele mieliśmy gabinetów od maja 1926 roku, ale śmiało można zaryzykować twierdzenie, że żaden z nich, poza gabinetami prof. Bartla, nie miał tak zdecydowanego i tak nieodzownego dla naszej sytuacji oblicza, jak obecnie powołany przez Pana Prezydenta Rzeczypospolitej rząd premjera gen. Składkowskiego. Ci i owi podchwycili szczegół najbardziej widoczny — generalski mundur, który też urósł odrazu do rozmiarów symbolu nowego rządu.

I słusznie.

Tak długo, jak długo nad Rzeczypospolitą panował autorytet Marszałka, mogliśmy z całkowitym spokojem pozwolić sobie na wygodne życie bez jakichkolwiek, bardziej widocznych symboli, kiedy jednak Wielki Budowniczy zamknął oczy na zawsze, sytuacja uległa zmienie nieomal z godziny na godzinę.

Okazało się niezbicie, że przy największym wysiłku, przy maksimum dobrej woli, brak w Rzeczypospolitej ładu i składu, jeśli na straży naszego życia nie stoi... Żołnierz, tensam Żołnierz, który kiedyś potrafił z gnuśności i marazmu wykrzesać pierwsze iskry Czynu Zbrojnego.

Jesteśmy krajem rezonerskich pesymistów, okraszonych dużą dawką specyficznie wschodniego „naplewat", to fakt nie ulegający najmniejszej wątpliwości, fakt z którym trzeba bezkompromisowo walczyć, jeśli pragnie się aby Polska była mocarstwem nie tylko w... papierowych enuncjacjach paru głupków.

Ba, ale jak walczyć?

I tu zbliżamy się do sedna zagadnienia. Niechaj nas przeróżni super - pacyfiści nie posądzają o propagandę kultu... soldateski. Jest nam ona równie wstrętna, jak powiedzmy p. Słonimskiemu, który wśród naszych pacyfistów, zajmuje chyba najbardziej czołowe miejsce, oczywiście tak długo, jak długo w kręgu jego zainteresowań nie znajdzie się... III Rzesza. Jak powiedzieliśmy więc, obca nam jest soldateska, ale nie obcy wielki ciężar gatunkowy armji polskiej.

Na tle przeraźliwie szarego, beznadziejnie skorumpowanego środowiska polskiego, które w cuglach zwycięża najbardziej bezkonkurencyjnych, na tym odcinku, sąsiadów, jedyną jasną plamę stanowi właśnie nasze wojsko.

Genjalne posunięcia Marszałka, kontynuowane po dziś dzień przez Jego najbliższego współpracownika Naczelnego Wodza, wyeliminowały z armji polskiej całkowicie element niepożądany, element bezideowy, zasklepiony w soldatesce, czy też przedkładający politykierstwo ponad dobro Rzeczypospolitej.

I bijąc dzisiaj na alarm, w obliczu smutnego stanu naszych zbrojeń, możemy bez cienia przesady stwierdzić, że natomiast materjał ludzki, tak żołnierski, jak i oficerski jest bezwzględnie elitą naszego społeczeństwa, elitą z której mamy prawo być dumni i której z zupełnym spokojem możemy powierzyć mocno nadwyrężone stery polskiej nawy państwowej.

Gabinet premjera gen. Składkowskiego i zaufanie, jakiem od pierwszej chwili zechciał obdarzyć go Wódz Naczelny gen. Śmigły Rydz, to gwarancja niewątpliwa ładu, spokoju i... czystych rąk, których tak znikoma ilość błąka się po Rzeczypospolitej, a których tak bardzo nam potrzeba.

Budując swój gabinet, premjer gen. Składkowski, jak na żołnierza Marszałka przystało się poszedł na żadne kompromisy i nie uląkł się żadnej dywersji. W skład jego gabinetu weszli ludzie, do których Rzeczypospolita może mieć zaufanie, a pozyskanie dla tak ważnych w dzisiejszej sytuacji Polski resortów, jak ministerstwo przemysłu i handlu i ministerstwo sprawiedliwości min. min.: Romana i Grabowskiego, znakomitych fachowców i kryształowych ludzi, to jeszcze jeden, widomy dowód trafności koncepcyj premjera gen. Składkowskiego. Czas pokaże, że nie omyliliśmy się i że Polską Marszałka mogą rządzić jedynie sercu Jego najbliżsi Żołnierze.

Ignis.

Czyżby naprawdę?...

... mimo licznych skarg i zapytań kierowanych do ministerstwa komunikacji w związku z omawianymi już na łamach naszego wydawnictwa kombinatorami zbierającymi ogłoszenia do tajemniczego albumu pamiątkowego ministerstwa komunikacji, proceder ten nie tylko nie ustał, ale przeciwnie — zyskał na aktywności? Akwizytorzy spod znaku „redaktora" Karniszyna w dalszym ciągu naciągają naiwnych przedkładając im do podpisania deklaracje opatrzone... państwowem godłem. Wedle zebranych przez nas informacji osobom zainteresowanym wspomnianem „wydawnictwem", a rekrutującym się zarówno z grona dawnych, jak i aktywnych urzędników ministerstwa, udało się uzyskać „firmę" ministerstwa komunikacji dzięki temu, że przeznaczyły one pewien procent z „interesu" na.. Rodzinę Kolejową, czy coś w tem rodzaju. Czy jednak godzi się czerpać dochody z równie ciemnego źródła? Jesteśmy przeświadczeni, że p. Minister Komunikacji płk. Ulrych nic o tej aferze nie wie.

✶

...jeden z wybitnych publicystów polskich w najbliższych dniach miał wznowić kiedyś już wydawany tygodnik? Czasopismo to ma stać się nieoficjalnym organem polskiej... masonerji.

✶

... wydawany w Niepokalanowie „Mały Dziennik" tak błyskawicznie rozrósł się, że wydawcy jego, jak wiadomo o. o. Franciszkanie postanowili już w najbliższej przyszłości uruchomić nowy dział swej produkcji wydawniczej — wielki, kilkuarkuszowy „magazyn" misięczny, wzorowany na analogicznych wydawnictwach amerykańskich? Oczywiście magazyn ten będzie utrzymany w duchu wszystkich dotychczasowych wydawnictw Niepokalanowa.

✶

... tylko przypadkiem dwaj żydzi Lejtes i Libkow byli realizatorami wcale sympatycznego filmu p. t. „Pod Twoją Obronę", a rdzenny katolik Lipiński nakręcał film z życia ghetta wyświetlany w żargonie p. t. „Ał Cheht".

✶

... dotychczasowy prezes Naczelnej Rady Filmowej osławiony Ryś Ordyński ustąpił z dotychczas zajmowanego stanowiska z dość pikantnych powodów, bardziej jeszcze utrwalających naszą opinję o „branży"? Uroczy Ryś wcześniej dowiedział się, że celem podniesienia polskiej porduckji filmowej Rząd postanowił wyznaczyć doroczną nagrodę państwową w wysokości 100,000 zł. Czy mamy dalej tłumaczyć? Ryś chce zdobyć 100 tysięcy i na gwałt przystępuje do produkcji filmu p. t. „Książe Józef Poniatowski". Entuzjastom księcia Pepi radzimy masową emigrację, chociażby do Etjopji, poco męczyć się w polskich kinach na nowym filmie Rysia...

✶

.... utalentowany literat i rasowy dziennikarz, Melchjor Wańkowicz już w najbliższej przyszłości miał objąć wysokie stanowisko w jednym z resortów obecnego gabinetu premjera Składkowskiego?

✶

... miała być wreszcie zrealizowana koncepcja b. ambasadora Rzeczypospolitej w Waszyngtonie min. Patka w sprawie ustanowienia w stolicy Stanów Zjednoczonych A. P. stałego korespondenta P. A. T.? Stanowisko to ma objąć jeden z młodych, ale bardzo utalentowanych dzienikarzy polskich, od kilku miesięcy przebywający na zachodzie Europy.

✶

...czynniki kompetentne zabrały się wreszcie bardzo energicznie do rozzuchwalonego bekoniarza Rubinsohna? W związku stem daje się zaobserwować żywe zainteresowanie przemysłem bekonowym wykazywane przez drobne warsztaty wędliniarskie, które opierając się na koncepcjach spółdzielczych i wyłącznie krajowym kapitale, pragną nalezycie rozbudować tak ważną gałęź naszego przemysłu.

✶

... do Związku Artystów Scen Polskich wpłynęło podanie jednego z wybitnych artystów, który występując w imieniu swej... koleżanki, domaga się aby pewna, bardzo podrzędna aktoreczka zaprzestała używania pseudonimu podobnego do nierodowego zresztą nazwiska koleżanki wspomnianego aktora? ZASP podanie to zostawił bez odpowiedzi.

✶

... jeden z wybitnych, emerytowanych wojskowych przystąpił do organizacji spółdzielni, której zadaniem naczelnem ma być... całkowite wyrugowanie kapitałów żydowskich z naszego handlu?

✶

... w tych dniach znakomita artystka p. Marja Modzelewska miała zamiar wstąpić po raz trzeci w związki małżeńskie z utalentowanym komedjopisarzem p. Marjanem Hemarem?

✶

... władze bezpieczeństwa stolicy nareszcie zainteresowały się działalnością, a przedewszystkiem personaljami dyrektorów amerykańskich biur filmowych istniejących w Warszawie?

FRASZKI

B. MIN. MICHAŁOWSKI ZOSTAŁ PISARZEM HIPOTECZNYM W STOLICY

Oto człowiek przezorny! Za wzór go wam kładę!...
Zanim dostał dymisję — miał lepszą posadę!

NA POLSKIE RADJO

Nieszczęśliwy abonent broni się, jak może —
Wyłącza głośnik i wzdycha — „O Boże!" —

NA „FRONT MORGES"

Nie wiem, czy ten front z natury,
Jak szwajcarski ser — ma — dziury?

NA O. N. R.

Mimo wszystko, wciąż nie wierzę,
Byś wziął władzę — O. N. R'ze!

NA DYMISJĘ PREZESA BANKU POLSKIEGO

Kiedy upał idzie z nieba —
Koca przecież nie potrzeba!

O. Set.

„Legja"? owszem,

ale... kombinatorów

Częstokroć gdy powstaje t. zw. biuro filmowe, to po za telefonem i spisem abonentów telefonicznych, zapłaconych gotówką, wszystko tam nabyte jest na weksle i to długoterminowe. O gotówkę, tacy przedsiębiorcy starają się dopiero później i to niezawsze w etyczny sposób, a nieraz wprost kolidujący z kodeksem karnym.

W swoim czasie w Warszawie, przy ul. Królewska 11 powstało towarzystwo filmowe p. n. „Legja", które nomen omen z afrykańską legją cudzoziemską również pełne jest „bywszych" ludzi.

Pierwszym takim bywszym człowiekiem jest tam p. Sochaczewski, eks-naczelnik urzędu skarbowego, drugim b. handlarz węgla p. Szłapak, a trzecim p. Goskind, znany już w branży ze smutnej pamięci filmu „Przebudzenie".

Panowie ci nakręcali film „Ał Cheht" w języku żydowskim w atelier Templa przy ul. Wiśniowej, gdzie nieopłaceni robotnicy zbuntowali się wreszcie i uniemożliwili „przedsiębiorcom" dostęp do maszyn i sprzętów niezbędnych do filmowania. Po pertraktacjach, zakończonych zapłaceniem należności, robotnicy wreszcie przystąpili do pracy i jakoś film dobrnął do końca.

Ale „Legja" wyprowadziła w pole jeszcze kilku panów, a między innymi art. Konrada Toma i dziennikarza J. R., który obiecując właścicielom „Legji" t. zw. „krótkie spięcie" otrzymał weksle, niestety dotychczas nie wykupione.

Ostatnio do władz śledczych wpłynęła skarga p. Irlichta, właściciela kina „Sfinks", który był na tyle nieostrożny, że „Legji" pożyczył 5,000 złotych gotówką.

„Legja", parę dni temu wręczyła p. Irlichtowi czeki na Powszechny Bank Związkowy, które nie miały oczywiście pokrycia.

Na zakończenie trzeba dodać iż „Legja" nie posiada koncesji i władze nakazały w najbliższym czasie zlikwidowanie tego problematycznego interesu.

Dr. J. P. Z.

Dokąd warto, dokąd nie...

Teatr — Rewja — Kino

„Nieusprawiedliwiona godzina“. (Teatr Letni). — Skuszeni powodzeniem, jakie dzięki Andrzejewskiej zdobyła sobie w Teatrze Kameralnym „Matura“, indywidualiści z T. K. K. T. wystawili w Letnim nudną bzdurę p. Bekefi'ego. Różnica między „Maturą“, a „Nieusprawiedliwioną godziną“ jest akurat taka, jak między Jadzią Andrzejewską a p. Lindorf, bohatersko parającą się z kretynizmami przedstawienia w Teatrze Letnim. Po otrzymaniu bardzo ulgowej kartki, można przynajmniej 4 z 5 aktów „Niesprawiedliwionej godziny“ przedrzemać. Które? To bez różnicy. **Widz.**

„Generał Sutter“. (Kino „Pan“). — Jest to film z rodzaju „Kapitana Blooda“ czy „Bounty“, ale z drobnemi różnicami. Tym razem reżyserował James Cruze, twórca głośnej przed 15 laty „Karawany“, który z wielkiem zamiłowaniem i znawstwem opracował temat: zdobycie Kalifornji w roku 1848. Film zrealizowany jest inteligentnie i z umiarem. Nie przechodzi jednak w arcydzieło. Rolę główną gra doskonały aktor amerykański, mało u nas znany Edward Arnold.

W każdym razie dla amatorów sensacji jest to film zupełnie odpowiedni i możemy go polecać... za biletem ulgowym.

„W cieniu samotnej sosny“. (Kino „Rialto“). — Na wstępie należy złożyć specjalne podziękowanie cenzurze, która nie pozwoliła okrasić tego naprawdę pięknego filmu idjotycznym tytułem „Nieokiełzana“ (pomijając inne kwestje, po polsku mówi się „nieokiełznana“), który powstał w wyobraźni tutejszych kierowników wytwórni Paramount.

„W cieniu samotnej sosny“ jest dziełem reżysera Henry Hathaway'a, który potrafi w swoisty sposób łączyć pierwiastki czysto sensacyjne z pewnego rodzaju mistyką. Trzeba przyznać, że ostatni jego film czyni potężne wrażenie. Robota filmu jest piękna i solidna. Niektóre sceny są poprostu arcydziełami pod wszelkiemi względami. Jako dodatkową atrakcję trzeba zaznaczyć, że film jest całkowicie wykonany w kolorach, które bodaj poraz pierwszy nie rażą, a wręcz przeciwnie potęgują wrażenie, zwłaszcza przy malowniczych plenerach. Aktorzy są wszyscy poprawni z Sylvią Sidney i mało u nas znanymi Fred Mac Murray i Henry Fonda na czele. Malutki Spanky Mac Farland, jak zwykle, rozkoszny.

Ale na miłość Boską, poco panowie reżyserzy każą Sylvi Sidney prawie w każdym filmie „wybuchowo spazmować“?!! W końcu staje się to denerwujące! Na premjerze, podczas wyświetlania tytułowych napisów, publiczność tupała. Miała rację, bo faktycznie nic nie można przeczytać. Film tak kapitalny, że warto za bilet zapłacić chociażby 5 zł.

„Doktór X“ (Kino „Capitol“).—„Doktór X“ jest jeszcze jednym płodem niesamowitym reżysera Michaela Curtiza. Straszny, straszy, a publiczność... ani rusz nie chce się bać! „Doktór X“, któremu nie można odmówić kilku mocniejszych akcentów, ogółem jednak wziąwszy jest stekiem bredni i durnych wymysłów dla małych dzieci, wśród których usiłuje coś niecoś pokazać nam zdolny aktor Lee Tracy (reporter).

Główną rolę kobiecą gra jedna z najbardziej antypatycznych aktorek amerykańskich Fay Wray, która prawdopodobnie dlatego gra tak często w filmach t. zw. „niesamowitych“, że umie świetnie... ryczeć.

W rezultacie — lepiej zostać w domu i włożyć złotówkę do P. K. O.

„Papua“ (Kino „Roma“). — „Papua“, to nazwa okrętu, która gra w tym przyzwoicie wykonanym filmie awanturniczo - egzotycznym główną rolę. „Papua“ stanowi miłą rozrywkę, którą możemy z czystem sumieniem polecać amatorom sensacji egzotyczno-morskiej. Realizacja tego angielskiego filmu (Wallace Ford) jest poprawna i wydobywa zupełnie przyzwoicie najlepsze miejsca scenarjusza niezbyt skomplikowanego, ale ułożonego logicznie i zręcznie.

Oprócz Steffi Duny, która gra rolę kobiecą, znajdujemy w obsadzie „Papui“ prawie same nazwiska weteranów filmu niemego, jak Mitchell Lewis (rola ojca), Raymond Hatton (pierwszy oficer Hawker) i Francis Mac Donald (Sakki). Wszyscy grają poprawnie. Wyróżnia się przystojny Papuas Mao oraz małpeczka, która wnosi do filmu pierwiastek humoru. Sceny masowe dobrze wyregulowane, ale przypominają zanadto „Bosambo“. **X. 27.**



Menażerja Warszawy

Twierdzi, że wszystkie drogi są dobre, jeśli prowadzą do... interesu, a interes ten „pan redaktor“ znajduje wszędzie, w pozornie najbardziej niedostępnych firm wyłudzając z nielada talentem ogłoszenia dla najfantastyczniejszych wydawnictw. Raz będzie to czasopismo b. wojskowych, innym razem młodzieżowe, jeszcze innym ...kosmopolityczny miesięcznik niewiadomo dla kogo wydawany. Żyje niczem krezus, on i kohorta przyjaciół - aferzystów jemu podobnych. Był już parę razy pod wozem (czytaj: w kryminale), zawsze jednak potrafił wykaraskać się. Chętnie przebywa w towarzystwie oficerów, którym cuda opowiada o swej służbie w... P. O. W. i Legjonach. Możemy go zaliczyć do farbowanych lisów.

*

Wśród elity „panów w jarmułkach“ uchodzi za czołowego reprezentanta zagranicznego highe - life'u, już chociażby z tytułu swego stanowiska w wielkim koncernie ubezpieczeniowym. Bardzo lubi wszelkie odznaczenia, nie wyłączając... wielkiej gwiazdy orderu Bałachowicza, za którą zapłacił 500 zł. Jest „wytworny“ i głupawy, jak na cudzoziemskiego plantatora przystało. Mimo kardynalnego skąpstwa, cieszy się powodzeniem u tych, coraz nieliczniejszych pań, którym impanuje... jego makaroniarskie pochodzenie. W układach „cavalliero“ maluje się duma i potęga „Il Duce“, a w gruncie rzeczy jest to przecież kombinator, któremu u nas powiodło się lepiej, niż w dalekiej, słonecznej ojczyźnie. Dobrze sytuowany, oczywiści zarobki swe przezornie lokował zagranicą. Dajmy mu zaciszny kącik w klatce, na której przywiesimy tabliczkę „kujot“.

Łączka kretynów

Polska należy niewątpliwie do nielicznej grupki państw, które bez przesady można zaliczyć do... najszczęśliwszych. Mieszkańcy naszej ojczyzny, to pogodni optymiści, którzy albo niemając żadnej pracy urzędują w... kawiarniach, albo też — podejmują się każdej roboty i każdą wykonywują... źle.

Nie bądźmy gołosłowni. Był sobie pewien młody człowiek, niekoniecznie potomek Piastów, ale zato urodzony sefl mady man. Młody człowiek, rzekomo „inżynier“ za uzyskane od tatusia pieniądze założył do spółki z pewnym znakomitym prawnikiem i filarem ZAIKS'u dość tajemnicze biuro „Tempos“, a jednocześnie rozpoczął wydawanie pisma poświęconego... sprawom mieszkaniowym.

Nie potrzebujemy tłumaczyć, że zarówno biuro „Tempos“, przez złośliwych i ojca p. „inżyniera“ nazywane „Mentus“, jak i niezwykłe wydawnictwo solidarnie splajtowały. Jakie zostawiły po sobie debety, to nie nasza rzecz. Nas natomiast ciekawi dalszy etap karjery p. „inżyniera“. Czując w sobie żyłkę wydawniczą postanowił uszczęśliwić Polskę pornograficznem wydawnictwem „Ona i On“. Niestety, różnica poglądów między wydawcą, a... cenzurą, zmusiła tego pierwszego do zwinięcia chorągiewki. Jakie „Ona i On“ zostawiło po sobie debety, to nie nasza rzecz.

My ograniczamy się jedynie do obserwacji sympatycznego self made man'a w rogowych okularach. Pojawia się on, ni stąd ni z owąd na terenie Mekki i Medyny wszelkiego rodzaju kombinatorów — Opery warszawskiej, gdzie instaluje... szafki reklamowe, urządza wiszące ogrody, koncerty muzyki mechanicznej, słowem — prawie amerykańską „publicyty“. To nic, że p. „inżynier“ strudem pisze po polsku, w karjerze jego nie stanowi to żadnej przeszkody.

Przychodzą ciepłe dni i oto nasz miły benjaminek wypływa na szerokie wody ...Doliny Szwajcarskiej tym razem jako: „długoletni kierownik scen rewjowych we Francji“ i organizuje „placówkę rozrywkową“ pod nazwą: „Lido“.

Tu zaczyna być od początku niewyraźnie. Z właściwym sobie taktem hucpiarski „inżynier“, „wydawca“, „kierownik scen rewjowych we Francji“ wysyła zaproszenie do poszczególnych redakcyj. Z „zaproszeń“ tych dziennikarze dowiadują się, że... **„mają prawo do bezpłatnej konsumpcji“.**

Ostatecznie, można i tak, ale kruszyna dobrego wychowania i taktu niezaszkodziłaby spewnością i p. „inżynierowi“ i przedewszystkiem jego mocno chybionej imprezie.

Stary Pies.

TO JEST AFERA!

Panie Inż. Weloński

Rozbudowa stolicy jest niewątpliwie objawem zdrowym i godnym najwyższego uznania, ale... tylko tak długo, jak długo utrzymuje się w ramach przyjętych dla uczciwego, europejskiego społeczeństwa. Tymczasem w Warszawie coraz częściej spotykamy się z iście azjatyckiemi metodami postępowania na tym, tak ważnym dla wszystkich mieszkańców stolicy odcinku.

W samem sercu miasta, przy ul. Mazowieckiej nr. 14 stoi rudera, w której przez szereg lat gościła sławna knajpa „Wróbel“, dzisiaj już nieistniejąca. Rudera ta, niezwykle kompromitująca dla tak reprezentacyjnego odcinka stolicy tkwi w tym punkcie prawdopodobnie tylko dla... spekulacji placem, na i dlatego, że nieruchomość ta należy do urzędnika Wydziału Technicznego Zarządu Miejskiego inż. Welońskiego.

Mimo to nie poświęcalibyśmy jej tyle miejsca na łamach naszego pisma, gdyby nie chęć ostrzeżenia naiwnych przed groźną pułapką w tejże ruderze zainstalowanej przez pełnomocnika inż. Welońskiego, a jednocześnie rządcę domu nr. 14 przy ul. Mazowieckiej.

Pan ten, obnoszący w butonierce swej marynarki znaczek Związku Oficerów Rezerwy i order... formacyj ochotniczych gen. Bałachowicza, prawdopodobnie za zgodą właściciela domu, strych wspomnianej rudery przerobił na dwupokojowy lokal i rozpoczął połów... naiwnych. Od znęconych dobrym punktem i pozornie przystępną ceną, p. radca przyjmuje zaliczki, następnie, najbezczelniej w świecie zmienia warunki, ale zainkasowanej sumy oczywiście nie zwraca.

Gdyby to łajdactwo ograniczało się do wspomnianego rządcy, którym jednakże po winien zainteresować się Związek Oficerów Rezerwy (jeśli oczywiście jest jego faktycznym członkiem), byłoby pół biedy. Ale kiedy wszelkie próby wydostania nieprawnie pobranej przez rządcę zaliczki spełzają na niczem i oszukany niedoszły lokator domu nr. 14 przy ul. Mazowieckiej, zwraca się ze skargą do właściciela posesji, p. inżynier, o ile nam wiadomo wyższy urzędnik Zarządu Miejskiego, skargi te zbywa tłumaczeniem, że... nic nie wie o zaliczce, że nie odpowiada za swego rządcę, a kiedy mimo to energiczniejszy petent nie ustępuje, p. inż. Weloński obiecuje zwrócić pieniądze, gdy... wynajmie komu innemu wspomniany lokal. Czy pana nie wstyd, panie Inżynierze?...

PRENUMERATA wraz z przesyłką pocztową lub odnoszeniem do domu zł. 6.— kwartalnie, zagranicą zł. 9,— OGŁOSZENIA: za wiersz wysokości mm. szerokości 1 szpalty, zwyczajne 60 gr., w tekście 1.20 gr. nadesłane 1 zł., Komunikaty 80 groszy. Kolumna posiada 4 szpalty

REDAKCJA i ADMINISTRACJA: Królewska Nr. 35 m. 20, tel. 6.33-66 czynne codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt od godz. 10-ej do 13-ej Konto w P. K. O. Nr. 15.581

Redaktor i Wydawca Włodzimierz Popławski.

Druk. Nowoświecka, Warszawa, Nowy Świat 57, tel. 2-72-16.